

Maciej Czula

## Najdawniejsze piśmiennictwo ludowe

Ktokolwiek miałby dzisiaj czas i nieprzymuszoną wolę przeczytać lub bodajże przegłądnąć ukazujące się pisma i tygodniki ludowe (bo dzienników jeszcze chłopci nie mają) i porównać je z dawniejszymi, wychodzącymi np. przed 40 i 50 laty, tego musi zadziwić, a poniekąd mile zdumieć wielką stosunkowo ilość pisanych w nich na różne tematy artykułów, wierszy i t. p. niezgorszych prac literackich, układanych przez lud, młodzież, a nawet kobiety wiejskie.

Wnosić by można z tego, że skoro piśmiennictwo ludowe jest tak płodne i interesujące, to musi być i dawne, stare, a tymczasem trwa ono zaledwie dopiero jedno pokolenie, bo od początku obecnego wieku.

Nie znaczy to, ażeby gazetki przeznaczonych dla ludu wcześniej nie było, bo np. w Warszawie wychodził już redagowany przez Anezyca „Kmiotek” w r. 1860, a w Galicji wychodziły: „Chata i nowiny”, „Wieniec”, „Pszczołka”, „Krakus” i inne około roku 1870, ale chłopcy z powodu powszechnego analfabetyzmu nie wiele mogli z nich korzystać, a skoro czytać i pisać nie umieli, jakże więc mogli do nich pisywać.

Chłopcy literatury nie tworzyli zupełnie przez cały blisko tysiącletni okres naszej historii, a istniała ona jednak w innej formie dużo wcześniej, bo może od czasów Popieła i Piasta: były to legendy i podania, gadki i historie niesamowite, podawane z ust do ust, z ojca na syna, z pokolenia na pokolenie.

Pierwsze — o ile dobrze pamiętam — wypociny chłopskie drukowane były w „Chacie i nowinach”, gazecie redagowanej dla ludu przez ks. Michnę w środkowej Małopolsce koło Jarosławia, gdzie stykały się odwiecznie dwie nacje: Polacy i Rusini. A jak sielankowe stosunki panowały tam wtedy, wystarczy nadmienić, że listy chłopskie (nie artykuły!) pisywane były w jakimś zanikłym już chyba żargonie polskoruskim i zaczynały się zwykle słowami „Sława Isu Chrystu”.

Najstarszym pisarzem chłopskim powinien być nazwany Deczyński, autor pamiętnika o dawnej wsi pańszczyźnianej. Ale Deczyński był nauczycielem, a więc inteligentem nie chłopem. Najstarszymi zatem zostają włościanie: Jan Rak (1820) i Maciej Szarek (1826); po tych dwu następuje 20 lat przerwy aż wreszcie przychodzą na świat: Słomka (1842), Magryś (1846), Bojko (1857), Stopa (1854), Kuraś (1871), Nocek (1872), Jantek z Bugaja (Kucharczyk 1874), Witos (1874), ponadto Średniowski i Sobek, a w Królestwie Nakoneczny, Manterys, Niećko, Stolarski, Nocznicki i inni.

Na początku 20-go wieku mamy wprost „zatręśnienie” chłopskich poetów i pisarzy.

Orędownikiem i poniekąd twórcą wielu wybitnych talentów pisarskich na wsi był pierwszy budozielnik ludu w Galicji ks. Stanisław Stojałowski. Wyszukiwał skutecznie owe talenty, wyglądał je, zachęcał do pisania i zamieszczał w całosci lub z poprawkami w swoim „Wieniu — Pszczołce” ich pierwsze nieudane czasem elaboraty. W „Wieniu — Pszczołce” ostrzyli swe pióra najwybitniejsi później pisarze i działacze ludowi, ona była dla nich elementarnym (jak np. dla Bojki) lub przygotowaniem do przyszłej wielkiej roli — (jak np. dla Witosy). Dużo ich potem poprzytulały „Przyjaciel ludu”, „Prawda”, „Niedziela”, „Gazeta ludowa”, wreszcie „Piast”, „Rola”, „Obrona ludu” i inne. W Królestwie podobną rolę odegrały: „Zaranie”, „Gazeta Świąteczna”, „Zorza”; na Śląsku: „Gwiazda Cieszyńska”, „Głos ludu śląskiego”. Najmniej odzywali się chłopscy pisarze w Poznańskim, więcej ich było na Górnym Śląsku.

Najwcześniej rozwinął się u naszego ludu talent liryczny. Wyglądało to tak, jakby chłop mówił lepiej wierszem niż prozą. Wszyscy pierwsi pisarze chłopscy to prze-

ważnie poeci, prozą zaczęli pisać daleko później.

O czym się wtedy w zaraniu piśmiennictwa ludowego pisało? Inne były zainteresowania, potrzeby, nastawienia, żądania ludu i jego stan umysłowy, o co innego trzeba było walczyć, dopominać się, inaczej do duszy chłopca trafiać!

Największym nieszczęściem wsi była ciemnota i ucisk chłopów sfer rządzących tj. szlachty i kleru. Z nadaniem swobód politycznych w Galicji wzmógł się znacznie ruch chłopski w kierunku uzyskania peł-

nych praw i wyboru do ciał parlamentarnych w Wiedniu i Lwowie swoich przedstawicieli. Rozgorzała niebawem walka polityczna między stronnictwami chłopskimi a szlacheckimi i ich satelitami, która zaciążyła lat kilkanaście na życiu umysłowym społeczeństwa.

Z tych czasów zapewne pochodzi i następujący wiersz Macieja Szarka, znaleziony w pośmiertnych jego papierach (1904), przedstawiający zabawną dyskusję i wzajemne do siebie pretensje chłopcy i szlachcica. Mówi on sam za siebie:

## Rozmowa szlachcica z chłopem

SZLACHCIC:

„Ach mój miły bracie chłopie, mam do ciebie prośbę,  
Żebyś został posłem waszym, czułbym się z tym dobrze.  
Chociaż jestem szlachcic z rodu, mam lud na pamięci,  
Duszą, sercem go miłuję jak ojciec swe dzieci.

WŁOŚCIANIN:

Gdzie to ta miłość szlachecka, gdy lud jej nie widzi?  
Dawno od ludu uciekła, cieszą się nią żydzi.  
Szlachcic chytry i obłudny, w nim wrodzona pycha,  
Włościanina w każdej sprawie od siebie odpycha.

SZLACHCIC:

U nas równość być nie może, potrzebna różnica,  
Bo co kontusz, karabela, to nie płóciennica.  
Chłop się na to na świat rodził, by na nas pracował,  
Zdaleń stał od innych stanów i nie rezerwował.

WŁOŚCIANIN:

Głupstwo pleciesz, mój szlachcicu, a chcesz zostać posłem,  
Gdybyś w Sejmie tak powiedział, nazwałbym cię osłem!”

Inni pisarze chłopscy równie dosadnie jak Szarek obrazowali ówczesne życie chłopskie. W kalendarzu „Wieniec — Pszczołka” na rok 1896 — a więc równo temu lat 50 — włościanin Michał Kabaj z Pilzneńskiego i Andrzej Czarnik z Czudeca takie oto uwagi polityczno-społeczne „Do braci chłopów” piszą: — Kabaj: „W naszym powiecie O. O. Karmelici mają browar i wyrabiają wódkę. Dziwnie wobec tego wygląda słyszeć z ambony wyklinalanie chłopów, że piją. Na co się komu taka obłuda przyda? Zostaw głupie dziecko w domu, daj mu suche trzaski i zapalki, a potem zabroń żeby ognia nie rozniecił. Pod każdym prawie kościołem widzimy karczmę, ale ponieważ należy ona do kolatora, nie się z ambony przeciwko niej nie mówi. Bo że chroń nas od trapiącego wroga: wódki i szlachcica”.

Czarnik wzywa szlachtę, żeby poszła razem z chłopem, ulżyła mu w biedzie i w nędzy, robotnika rolnego nie krzywdziła, była miłosierna i sprawiedliwa. Ale szlachta, zamiast się poprawić, huzia na chłopcy i robotnika, bo to bydlęta! Dzisiejsza szlachta ani do Boga ani do ludzi. Kościołów nie funduje i w nich rzadko bywa, a na chłopów w Sejmie nałożyła nową pańszczyznę, która mówi: pański las, pastwisko, zając, ryba, jagoda, grzyb, a ty, chłopie, okup się panu za wszystko, a jak nie, to giń z nędzy i głodu.

A grupa wychodźców z Brazylii: Czarniawski i Rejczakowski z Borysa takie dają rady, żeby mogli przyjąć lepsze czasy:

1) Biedny robotnik powinien zarobić 50 — 60 centów dziennie, aby mógł żyć, i powinien mieć wyznaczone godziny pracy, bo panowie też sobie wyznaczają godziny na pracę.

2) Słudzy czyli farnale po dworach powinni otrzymywać poza ordynarią stałe pensje, bo oni są najbardziej pokrzywdzeni, całą gospodarkę pańską obrabiają, a żyją jak najgorsi nędzarze w barakach podobnych do stajen.

3) Oddać gminom zabrane pastwiska i lasy, żeby chłop miał na czym uchować chudobę i sprzedawać jaką sztukę na opłacenie podatku.

4) Nie zabraniać ludowi wybierać na posłów takich ludzi, jakich on pragnie, i nie

starajcie się przekupstwem sami tam wejść na jego zgubę.

5) Ulepszać prawa, żeby procesy nie ciągnęły się pięć, sześć, a nawet dziesięć lat, żeby lud nie wóczył się latami po sądach i nie sprzedawał pola na procesy i dług.

6) A opiekuństwo nieszczęśliwe na co się zdaje? Ze sąd i notariusz zabiorą tyle, że sierotom mało co zostanie. Dobrze mi opiekuństwo! Tak się wilk owcą opiekował, że ją w końcu zjadł całą.

7) Nie bądźcie zbyt miłosiernymi, bo to oszukaństwo. Gdy myszy lub grad zrobią szkodę w polu, to ciągną chłopcy do komisji, do pisarza, do wójty. Myślałby kto, że niewiedzieć co dadzą, a tu buch! Razem 20, 30, 40 krajcarów mniej podatku! Czy to nie naigrawanie się z nieszczęśliwych?

8) A cholera? Toż się niejeden nią podpasał, bo jest ona pomyślnym wiatrem na młyn szlachcica. Jak zaczęła obsadzać wieś wartami, zandarmami, polewać chłopów karbolową wodą, a domy walać wapnem, odzież mu spała, a drugiej nie kupia, dadzą mu mięsa jak umiera, ale czemu nie dadzą lepiej jeść, jak on zdrowy, żeby miał siłę do pracy?

Takie to i podobne skargi zamieszczali chłopcy na łamach pism ludowych, takie mieli potrzeby, żądania, żale, prośby i zainteresowania. Iż w nich gorzkiej ironii, ile zawodu, żalu i skargi na swój żalostny los! W początkach 20-go wieku było już gazet ludowych w Galicji dosyć i chłopcy mogli w nich dowoli wybierać. Wychodziły „Chata i nowiny”, „Wieniec — Pszczołka”, „Dzwon”, „Krakus”, „Krzyż”, „Związek chłopski”, „Przyjaciel ludu”, „Obrona ludu”, „Nowy dzwonek”, „Prawo ludu”, „Prawda”, „Gazeta niedzielna”, i wiele jeszcze innych tygodników, dwutygodników, a nawet miesięczników.

Nieco odmiennie krystalizowało się piśmiennictwo ludowe w Królestwie. W Galicji przywódcy ludowi uświadamiali lud politycznie, w Królestwie Konrad Pruszyński (Promyk), M. Brzeziński, a później Malinowski w „Zaraniu” uczył lud patriotyzmu i propagował hasło „Sam sobie”, ponieważ życia politycznego w tym czasie w Królestwie nie było. Pracę kulturalno-oświatową prowadzili z powodzeniem w Galicji i Królestwie niektórzy księża jak ks. Bli-

ziński w Liskowie, i ks. Tyczyński w Albigowej. Obydwie wzorowe i wysoko kulturalnie stojące wsie ściągały wycieczki z całej Polski i stały się dla wielu wsi wzorem. Zbyt mało było niestety tych wsi i ich inicjatorów.

W Poznańskim, na Śląsku, a tym mniej na Mazurach i u Kaszubów pisarzy ludowych pisujących po polsku do pierwszej wojny światowej nie było. Przynajmniej o takich nie słyszeliśmy, jedyny wyjątek stanowił poeta mazurski Michał Kajka. Działali tam i pisywali dla ludu ks. Chóćiszewski, Miarka, Napieralski, Korfanty i włościanin Kupiec. Po pierwszej wojnie światowej zakwitło piśmiennictwo bujne. Oprócz gazet czysto politycznych poczynają wychodzić także pisma literacko-społeczne, zamieszczające chłopskie utwory literackie, na które gazety polityczne nie bardzo chciały użyczyć miejsca.

W roku 1917 wychodzi pod redakcją A. St. Bassary w Krakowie „Rola”, która grupuje poetów i literatów ludowych; poziom jej był na ogół niski, ale ponieważ czytelnik znalazł w niej i coś do rozveselenia np. stały felieton pisany gwara pt. „Maciek Bzdura” lub „Kaśka Myrdalanka gada”, była dość przez ludzi żądnych drukowanej bibuły czytana i przetrwała do obecnej wojny.

W dniu 2 maja 1920 r. wyszedł pierwszy numer „Młodej Polski”, organ młodzieży zgrupowanej w Małopolskim Związku Młodzieży. Wybito się w niej kilku młodych poetów i publicystów jak Robert Rydz, J. Marcinek, Fr. Rejman, Fr. Lipiński i t. d. W roku 1938 powstaje w Jordanowie „Wieś — Jej pieśń” redagowana przez Janika z Bugaja przy współudziale Antoniego Olchy, a w zmienionej formie (jako „Nowa Wieś”) przez Mariana Czuchnowskiego. W okresie sanacji, kiedy za każde śmielsze słowo groziła Berezka, nie mogło się pismo utrzymać i upadło. Także w grudniu, ale o 5 lat wcześniej zaczął wychodzić w Krakowie „Promień” pod redakcją dra St. Kulpy-Grodzkiego. Mimo, że w skład redakcji wchodził najwybitniejszy pisarz ludowy i inteligent ludowy żyjący, wyszło go zaledwie 7 numerów z wielką szkodą dla pisarzy i samego ludu.

W tym czasie wychodzi w Katowicach „Strzecha rodzinna” ilustrowane pismo literackie przeznaczone dla ludu. — Czołowe artykuły pisali w niej: Fr. Fryszecha, Fr. Lipiński i W. Breowicz. Niestety, niedługo pismo podzieliło los innych i upadło.

Ważne zadanie w propagowaniu na wsi teatrów i chórów włościańskich spełniał również „Teatr ludowy” redagowany przez miłośnika i twórcę teatrów ludowych na wsi Jędrzeja Cierniaka, zamordowanego bestialsko w okresie okupacji przez hitlerowców.

Pismo „Znicz” redagowane przez Wojciecha Skuzę było bojowym pismem demokratycznej ludowej młodzieży. Spełniało pięknie swoją rolę pęki jego duchowy wódz i redaktor nie zginął podczas ostatniej wojny.

Przed samą wojną zaczęły wychodzić w Krakowie radykalne i ciekawe redagowane „Nurty” pod redakcją St. Matysiaka. Miało dobrych współpracowników i rękowało jak najlepsze nadzieje.

Najazd hitlerowski położył niestety kres tak pismu jak i życiu obiecującego redaktora.

Zanotować wreszcie należy pisarzy ludowych na drugiej półkuli w Ameryce północnej i południowej. Są to pisarze radykalnie nastawieni, pisujący prozą i wierszem w prasie wolnomyślniej.

Najbardziej znani z nich to: Antek Socha, Tadeusz Sawicki, Józef Makowiecki i Marja Chybowska, a w Brazylii Wł. Wójcik.

Przy skrzętnych poszukiwaniach znalazłoby się ich na jednej i drugiej półkuli znacznie większe grono.



Józef Pogan

## MÓJ ŻYCIORYS (II)

Gdy w końcu 1940 r. zacząłem pisać pierwszą książkę, miałem wiele trudności i różnych przeszkód. Przede wszystkim sołtys wsi, pół-analfabeta, lecz człowiek energiczny i rezolutny, zaprzęgał mnie do swego „kieratu” urzędowego, ponieważ we wsi nie było innego tak „uczonego i czasowego dziada”, jak ja. Na każde skinienie sołtysa musiałem być do jego usług i spisaniem bydła, koni, ludności, ziemi, obliczaniem podatków okupowałem utrzymanie się we wsi. Gdy jednego razu odmówiłem tego sołtysowi, oświadczył mi kategorycznie, że „na drugi raz za taki rozmysłny upór pojedzie na roboty”. Niby sołtys miał rację co do mego „uporu”, nie wiedział bowiem o mej pracy pisarskiej na większą skalę.

Drugą przeszkodą byli sąsiedzi. Odwiedzali mnie częściej, niż przed wojną na pogawędki o wojnie, wyjaśnienia geograficzne i t. p. i całkiem nieświadomie przeszkadzali mi nie mniej od sołtysa. Oprócz zajmowania drogiego czasu, uśmiechali się ironicznie lub drwili otwarcie; zaczęli brzdąkać, że „Pogan od strapienia widać już bzikuje i wleżał coś kreśli”. I mieli swoją rację, bo jakżeż inaczej można było sądzić o biednym „cepaku” śleczącym całymi dniami nad zeszytem z ołówkiem. Przecież, jak Ino Będkowiec stoją, jeszcze takiego dziwaka nie było.

A nie mogłem się zwierzać przed ludźmi, że piszę książkę, bo nikt by w to nie uwierzył i jeszcze bardziej drwił ze mnie.

Byli też tacy, co próbowali mi brać z ręki zeszyt, by się dowiedzieć co piszę. Odpowiadałem im, że uczę się rachunków, bym po wojnie mógł zostać urzędnikiem. Lecz nie wierzyli wykrętom i mówili: — Bujacu, ty wojnę i Hitlera opisujesz. Uwójż zebym Niemcy nie popadli, bo wsiaknie.

Wiadomo, że takie ostrzeżenia nie były miłe dla mnie, gdyż i dzieci sąsiadów wiedziały i powtarzały między sobą, że „Pogan wojnę i Hitlera opisuje”. W razie pojawienia się we wsi Niemców niektórzy sąsiedzi przychodzili do mnie i ostrzegali, bym „se schował te pisaniny”.

Byłoby jeszcze pół biedy, gdybym miał większą izbę, gdzie mógłbym na uboczu postawić stolik, aby ludzie nie mogli mi zaglądać do zeszytu. Najbardziej przeszkadzali mi krewni żony, bo ona żaliła się przed nimi, więc ci widzieli we mnie tylko jakiegoś obłąka i gnębiciela swej rodziny. Powstawały z tego często kłótnie domowe, a nawet bijatyki. Ja przeważnie ustępowałem, bo przyznawałem przeciwnikom z punktu ich widzenia rację jak również obawiałem się, by w ostateczności nie oskarżyli mnie przed Niemcami za różne wobec nich grzechy.

Pisanie w tych warunkach było po prostu męczarnią. Lecz uparłem się, że muszę skończyć powieść, zanim się wojna skończy. Temat obmyśliłem jeszcze latem przy pracy w polu. Miałem jednak dość kłopotu z wyborem: czy romans? powieść obyczajowa? czy przeżyć wojenny? i t. d. Jednak te tematy zdawały mi się jałowe w treści, nie wiele lub zgola przynoszące moralnych korzyści przyszłym czytelnikom. Chodziło mi o coś więcej: by najtrafniej odzwierciedlić duszę chłopską w jej dodatnich i ujemnych stronach, czyli obiektywnie przedstawić chłopca we wzajemnym stosunku do siebie oraz do wszystkiego co go z zewnątrz otacza. Więc wybrałem za temat przebieg życia wsi i okolicy w okresie mniej więcej dziesięciu lat przed wojną.

Po napisaniu na brudno zwróciłem się do inż. J. Rościszewskiej o radę. Zachwyciła się treścią, sumiennym oddaniem rzeczywistości, ciekawymi postaciami bohaterów, ich językiem, lecz nie udało się jej „chropawy styl”. Wyjaśniła mi, o co chodzi, i przyznałem jej zupełną rację. Zrozumiałem, że niby dobra rzecz, ale nieudolnie wykonana.

Zasmuciłem się i zabrałem do korekty.

Upłynął może tydzień, gdy Rościszewska przysłała po mnie służącą. Pobiegłem szybko. Tam czekała mnie niespodzianka: Rościszewska wręczyła mi 200 zł. zaliczki a conto przyszłego honorarium mej książki i jednocześnie podsunęła mi papier do podpisania, ażeby dostarczyć książkę do potajemnego wydawnictwa w Warszawie. Jak się tym ucieszyłem, po prostu nie da się opisać. Zdawało mi się, że to bajka. Sen, nie rzeczywistość.

Za otrzymane pieniądze kupiłem sobie kożusko, spodnie, 50 kg żyta i jeszcze trochę mi zostało.

Z ogromnym zapałem zabrałem się do dalszej korekty i do przepisywania na czysto. Sąsiadów znów to zainteresowało, a zwłaszcza, że za kupiłem spodnie i kożuszek, wszak wiedzieli, że nie na to nie sprzedał. Przeraziłem się by przypadkowo nie doszło do wiadomości Niemców i nie spowodowało aresztowania mnie i Rościszewskich, u których często przebywałem. Więc na wszelki wypadek wystawiłem bratu w Jerzmanowicach weksel dłużny na 300 zł., czyli, że od niego pożyczylem pieniądze.

Cztery miesiące pracy nad książką strasznie mnie przemęczyło, że tylko cień ze mnie pozostał. Rzeczywiście, że bardziej szkodliwe były warunki, niż sama praca, która przedstawiała się następująco: nocą leżąc w łóżku rozmyślałem, co mam nazajutrz pisać w danym już z góry uplanowanym rozdziale. Rozmyślania trwały zazwyczaj do północy. Ale i po północy nie zawsze mogłem spać spokojnie,

nie, bo ileż to razy rozerwała się zniszczona poszwa pierzyny. Wtedy żona budziła mnie, zbierała po płachcie rozsypane pierze, wkładała do pierzyny i sznurkiem zawiązywała „złurę”. I narzekała przy tym na mnie, że wolę dziać, niż iść na posadę do Niemców, choć się już wyszkoliłem na to. Rano wstawałem o świcie i pisałem cały dzień, zazwyczaj bez obiadu. Czasem oderwałem się do jakiejś pracy, a najczęściej przerywał mi ją sołtys i do reszty sąsiedzi pogwarkami.

Po ukończeniu oryginału znów zrobiliśmy korektę z Rościszewską i mąż jej wysłał książkę, gdzie należało. Gdzie? — nie wiedziałem, gdyż Rościszewscy nie powiedzieli mi o tym, a nie byłem zbyt ciekawy pytać się o to. Wystarczyło mi, że Rościszewscy byli dobrymi patriotami, więc książkę przesłali do polskiego wydawnictwa.

Lecz dalszej zaliczki na razie nie otrzymałem. A tu właśnie nadeszła wiosna i zbliżał się ciężki przednówek. Na razie nikt nie przewidywał, że będzie katastroficznie. Ale raptem w maju ceny zaczęły „skakać” w górę i niebawem korzec żyta kosztował w naszych stronach 1200 zł, a ziemniaki 350 zł. W dodatku nie było gdzie kupić, bo rok był kiepski, a i Niemcy zabrali wielkie kontyngenty. Nie wolno też było ani sprzedawać ani kupować zboża i za to groziła surowa kara.

Rozpacz biedaków nie miała granic. Łazili nawet tydzień za ćwiercią ziemniaków, lecz najczęściej bezskutecznie. Mnie brakło żywności już w maju. Łaziłem więc za kupnem jak wszyscy. Jednego dnia obszedłem pięć wsi i zaledwie kupiłem 8 kg bobu. Sprzedałem na to dwie kury.

W tym to ciężkim czasie pragnąłem pisać drugą książkę, lecz nie mogłem, i to mi jeszcze bardziej gnębiło. Próbowałem, lecz widmo śmierci głodowej paraliżowało moje myśli. Układałem tylko plan książki. Miał to być dalszy ciąg poprzedniej, tylko planowałem ująć czas wojenny.

Całe lato zeszło mi na utrapieniu, a jesień znów na ciężkiej pracy fizycznej. Musiałem zarobić coś niecoś u sąsiadów, bo choć z Warszawy otrzymałem dodatkowo 300 zł zaliczki, jednak tego nie starczyło na zabezpieczenie się na zimę. Rzeczywiście, że mógłbym zarobić coś mierzeniem pól, ale „we wojnę moja geometria wzięła w łeb”.

Z początkiem zimy znów zabrałem się do drugiej książki i po napisaniu kilku rozdziałów dostałem napręd 600 zł zaliczki a po ukończeniu znów 400 zł.

Zaliczki te postawiły mi nieco na nogi i uwolniły od wynajmowania się do fizycznej pracy. Starczyło tyle, by zjeść choć dwa razy dnia, mieć strzępa na grzbiecie, zrobić u siebie co należy i pisać z trudem.

Więc z kolei pisałem trzecią książkę, lecz po ukończeniu, mimo przyrzekania mi zaliczki — nie posłałem już do wydawnictwa z uwagi na małą wartość zdewaluowanego pieniądza.

Następnie pisałem nowelę. Ale coraz mniej, aż wreszcie przestałem całkiem pisać, bo coraz bardziej gorączkowe nastawały chwile, że nie było „głowy na karku” i nie było się ani godziny pewnym życia. Było się tylko jakąś zwierzyzną w potrzasku i z wytrzeszczonymi zrenkami wyglądało się śmierci od teutońskich oprawców. W każdy niemal tydzień bywały oblavy na ludzi, a w sąsiednich wioskach, na przykład: w Łazach czy Radwanowicach działy się okrucieństwa mroźące krew w żyłach. Tam mordcy żywych ludzi przybijali do drzwi stodoły lub przywiązanych postronkami do samochodu wóczyli po kamienistej drodze. W Radwanowicach zamordowano w ten sposób 34 osoby, w Łazach 2 i 20 aresztowanych, a w Będkowiecach zastępcę sołtysa.

W tym to czasie Niemcy wymordowali zamieszkałych w Będkowiecach Żydów. Wywieźli ich do Skąły pod Ojcowem i tam masowo rozstrzelali. Lecz wielu z nich, a zwłaszcza ci co mieszkali pod przybranymi nazwiskami, jako Polacy uratowali życie. Byli to inteligenci. Z niektórymi zaprzyjaźniłem się bliżej, a najbardziej z sędzią dr. Eichhornem, z J. Czarakiem i z nauczycielem gimnazjalnym P. Jablońskim. Ten był Polakiem i ukrywał się pod pseudonimem Z. Dobrzański. Zwracaliśmy się wzajemnie ze swych trosk, uczuć i różnych spraw patriotycznych.

Sędzia Eichhorn utkwiał mi najbardziej w pamięci jako dobry i wielce szlachetny człowiek. Interesował się życiem wsi, przyjmował u siebie chłopów z otwartymi ramionami, sam ich też często odwiedzał, doradzał w zawilej sprawie, pożyczal pieniędzy, a biedakom często podarował jakąś kożuszek, spodnie, buty i t. p. Wiśniewscy szanowali go bardzo, a nawet kochali po prostu i ostrzegali przed niebezpieczeństwem. W roku 1942 cudem uniknął on śmierci od niemieckich oprawców. Ukrywał się u mnie przez pewien czas, trochę gdzieś indziej, choć za to groziła nam śmierć. Wreszcie dobrzy ludzie wyszukali mu bezpieczne schronisko w Krakowie. Przeżył wojnę i jest obecnie wiceprezesem Sądu Okręgowego w Grudziądzu.

Uratowali się też w naszej wiosce: dr Luster z rodziną, dyr. gimnazjum Bergrinowa wraz z matką i siostrą, p. Dukatowa z dziećmi i J. Czaraki. Wiśniewscy na ogół wiedzieli o ich żydowskim pochodzeniu, jednak nie tylko że ich nie zdradzali przed Niemcami, ale nawet pomagali im do przeżycia

wojny. Każdy powtarzał: — Przecie to bite Żydy, ale tak samo ludzie jak i my. Wszyscy my teraz nieszczęśliwi i powinniśmy się chronić przed katami... Nie wolno czekować braci czyjej śmierci na swoje sumienie.

A przynajmniej trzeba, że oprócz sołtysa, który brał okup od ukrywających się Żydów — nikt inny nie miał z tego żadnych korzyści. Ze wszystkich mieszkańców z Będkowiec tylko trzy osoby splamiły honor Polaka: jeden sołtys, który — oprócz okupu od Żydów, łapówek od gospodarzy oraz zmuszania biedaków do bezpłatnej u siebie pracy w gospodarstwie — wysłał do obozu w Niemczech jednego chłopca; drugi strażak K. W. na rozkaz Niemca złapał w lesie Żyda, przyprowadził go na śmierć, za co dostał sto złotych nagrody; i trzecia nauczycielka E. G. Ta już stale przyjmowała u siebie mordce, komendanta policji K. Nowaka, jeździła z nim samochodem i t. d.

Smutek i przynęcenie duchowe miejscowej inteligencji starała się „zabić” rozrywkami. Urządzali więc u Rościszewskich wesela, antyniemieckie rewie, w których i ja brałem też udział jako aktor. Występowałem w roli sołtysa czy wójty i niby lizoni niemiecki — recytowałem satyryczne humoreski własnej kompozycji. Goście bili mi brawa.

Ale mimo tych braw i częstej z nimi rozmowy, jeden gość książd nie podał mi ręki na powitanie dlatego, iż nie odprawiłem tak zwanych „dziewięciu piątków”.

Oprócz miejscowej inteligencji, rozmawiałem też często z partyzantami, którzy odwiedzali mnie, byłem bowiem z nimi w ścisłym kontakcie i u siebie w domu składałem przed nimi przysięgę.

Włożyłem z dnia na dzień zaklęty żywot, aż wreszcie po wyczerpaniu się pobranych poprzednio zaliczek, okrutna niedza zaczęła szczyrzyć na mnie zęby. Z początkiem 1944 r. pozostałem bez środków do życia. Jedynym moim majątkiem było liche ubranie kupione za otrzymaną zaliczkę. Szukałem więc ratunku. Do robot w Niemczech czy na posadę? — Boże zachowaj. Wolalibyśmy śmierć. Do partyzantów? — nie miałem zdrowia, zaś do służby u gospodarza? — ambicja nie pozwalała.

Nareszcie wyszukałem sobie służbę stróża nocnego we dworze Stefana Skrzyńskiego w Wieckowicach. Było to dla mnie dobrą okazją do poznania stosunków we dworze. Zgodziłem się pełnić służbę w nocy i dodatkowo pompować ręcznie wodę. Parę pozostałych od snu godzin obliczyłem na czytanie książek czy też pisanie. O uczciwości mojej na obficie tej posady zaręczyło paru znajomych mi „notabłów”.

Wkrótce przekonałem się, że z magnatami nie taka łatwa sprawa, jak się to na pozór wydaje. We dworze musi być bydlęciem, bo ludźmi są tylko „jaśnie państwo”. Jakkolwiek swe obowiązki wykonywałem należycie, jednak „jaśnie państwo” zaprzęgli mnie do różnych dodatkowych usług. Prawda, że z mieszkaniem rzadko mnie wzywali przed swe „oblicza” ale Boże zachowaj, bym ubrany wyszedł z książką przed pałac. Wtedy rozniewiana dziedziczka mówiła: — stróżu, albo się zamknijcie w mieszkaniu na wszystkie zamki, albo do pracy. We dworze nie ma panów, ani czytelników.

Na razie usprawiedliwiałem się, iż wykonywałem należycie swą powinność, ale wnet pojąłem o co chodziło: nie należało niwelować kolosalnej różnicy między „jaśnie państwem” a służbą. W tym przekonaniu upewniłem się jeszcze mocniej, gdy zauważyłem, że „jaśnie państwo” najmniej odnoszą się do tych robotników, którzy byli najbardziej ubrudzeni i gołym ciałem świecili przez postrzępioną odzież. A nie można powiedzieć, że mieli litosć nad najbardziej zubożonymi, bo przecież same milsze słówka nie im nie pomagały.

Zorientowany się w sytuacji — po przespaniu się i napompowaniu wody — czytałem w mieszkaniu. Lecz na nieszczęście przed moim okienkiem był taras, gdzie „jaśnie państwo” siadali w fotelach. I znów nienawistnie spoglądał przez szyby na siedzącego przy stole po „pańsku” stróża. Wtedy polecali służącej wolać mnie do różnych usług.

Zorientowałem się i w tym. Więc leżałem w łóżku i czytałem. Poskutkowało. Ale przecież człowiek nie „drzewo”, nie może w dzień leżeć w łóżku. Musiałem się poddać chlebowi. Wychodziłem więc w postrzępionej odzieży i spełniałem różne usługi.

Chciwość Skrzyńskiego wielce mi zdziwiła. Otóż nabył on od Niemców 50 jałówek, które przywiezione były ze wschodu podczas przesuwania się frontu. Jałówki te Skrzyński

sprzedawał po trzy tysiące złotych, a jak się potajemnie dowiedziałem od kierownika szkoły — jałówki te kosztowały po 170 zł. Dzieci i rzadca prosili mnie o wyszukanie kupców na te jałówki, gdyż nie było na nie miejsca w oborze i stały w stodołach.

Z dzieżciem rozmawiałem czasem wieczorami w ganku i często prosiłem go, by mnie zwolnił od usług, bo chcę się uczyć. Był względem mnie niby uprzejmy, ale ze słów jego wyczułem, iż z różnych względów nie może na to pozwolić.

Po kilku miesiącach wzięwszy za służbę trochę zboża i ziemniaków — pożegnałem wielkopolski dwór. Miałem wiele kłopotu, bo rzadca chciał mnie odesłać do Arbeitsamtu, a nawet za kratę — jak się wyraził. Był on wielkim pańskim lizonem, a rogi miał straszne i bół. Ale jakoś ublażałem dziedzicą, żem chory i po zbadaniu lekarskim zwolnił mnie.

Po odejściu ze dworu nie długo utrzymałem się w domu. Kłopoty rodzinne, czterotysięczna chmara Hitlerjugów i przymusowe roboty przy sypaniu okopów wstrząsnęły mną do głębi. Uciekłem ze wsi i zamieszkałem u krewnego młynarza w sąsiedniej wiosce. Dom jego stał na uboczu pod lasem, więc można było trochę swobodniej oddychać. Młynarzowi nauczyłem córkę po trzy godziny dziennie, a resztę pracowałem w gospodarstwie za samo utrzymanie. I wlokłem jakoś nędzny żywot.

Nareszcie wolność i radość niewypowiedziana. Ale nie za długo nowa rozpacz znów mi ogarnęła: — dotychczasowi przyjaciele-inteligenci odsuwali się ode mnie. Nie chcieli nawet rozmawiać ze mną. Jeden oświadczył mi, że gdy zostanie dyrektorem, wtedy weźmie mnie z sobą za... wóznego. Inna osoba zaczęła mnie „wartościować”: — „Pańska przyszłość przedstawia się tragicznie. Powieści zapewne do „luftu”, bo... inaczej się stało... Byłby pan cennym pisarzem, ale... nie w takim ustroju. Co będzie z panem? — ja nie wiem. Do biura? — brak wykształcenia; rolnikiem być nadal? — brak majątku; kupcem? — brak funduszy; mógłby pan być na przykład portierem, ale znów brak cierpliwości; wóznym? — też nie, bo trzeba każdemu pokornie usługiwać; stróżem? — już pan był i nie wytrzymał; robotnikiem? — brak sił”. Po prostu nie nadawałem się do niczego.

Każdy mówił mi co innego, a w tych uwagach kryła się tylko pogarda dla mnie. Otworzyły mi się oczy: klika, z którą cały czas wojny obcowałem, liczyła na to, że pomagając mi zrobić ze mnie pańskiego pacholka. Ale niestety „inaczej się stało” i... — idź precz od nas chłopie, bo śmierdzisz gnójem. Jeden tylko sędzia Eichhorn przyrzekł mi pomoc, lecz na razie był bezradny, bo sam jeszcze nie miał posady.

I wszyscy poszli w „swe strony”, a ja zostałem sam niby przez fale morskie na brzeg wyrzucony. Dyszałem ostatkiem sił. Rozpacz, bo kto znał moje rodzinne stosunki, ten wiedział dobrze, że tam nie mogę być dalej. — Czy mam nadal być wóznym z kosą po okolicznych wsiach, jeśli powieści do „luftu”, a do biura brak wykształcenia — szumiało mi w głowie.

Chwilami dobre myśli rozjaśniały mi czoło, że przecież jestem mężczyzną... że dam sobie radę... tylko by w innych warunkach niż dotychczas... by nareszcie być człowiekiem, a nie bydlęciem.

Niepokój dręczył mnie z dnia na dzień i z ułasknieniem wyciekiwałem na przyrzeczoną mi przez sędziego Eichhorna posadę w Sadzie. Aż oto jednego dnia przypadkowo przeczytałem w „Dzienniku Polskim” krótką wzmiankę, by pisarze zgłaszali się do Związku. Jakkolwiek nie orientowałem się w sprawach organizacyjnych pisarzy, jednak wiedziałem, że do Związku mogą mnie przyjąć tylko na podstawie oceny mego dorobku. Zabrałem więc rękopisy i udałem się do Krakowskiego Oddziału ZZLP i czekałem cierpliwie wyniku. W parę tygodni znów się tam zwróciłem. Zastałem prezesa dr Wykę Kazimierza i chwilę z nim rozmawiałem. Przyrzekł przeczytać moje rękopisy.

Wkrótce rozpoczęła się parcelacja majątków i osadnictwo na zachodzie. Ponieważ w Będkowiecach nie było dworu, postanowiłem więc wyjechać na zachód. Już się zarejestrowałem, wyrobiłem sobie potrzebne papiery, gdy oto otrzymałem list od prezesa, dra K. Wyki. Ogarnęła mnie niewymowna radość, bo prezes przyrzekł mi i przyjęcie do Związku i możliwość druku i pomoc pieniężną.

Nazajutrz udałem się do Krakowa. Prezes, dr Wyka przyjął mnie do Związku, wręczył mi tysiąc zł zasiłku i dał list polecający do Kolegów w Katowicach w celu umożliwienia mi otrzymania gospodarstwa.

Długi dramat mego życia zakończył się. Pojechałem na zachód rozpocząć nowy żywot. Żywot człowieka.

## NOWOŚCI WYDAWNICZE

Adolf Rudnicki

## WRZESIEŃ

Cena zł. 35. —

Tęgoż autora:

»Łań« »Czysty nurt« »Koń« »Mjr. Hubert z armii Andersa« »Józefów« »Uśmiech żandarma«

„KSIĄŻKA”

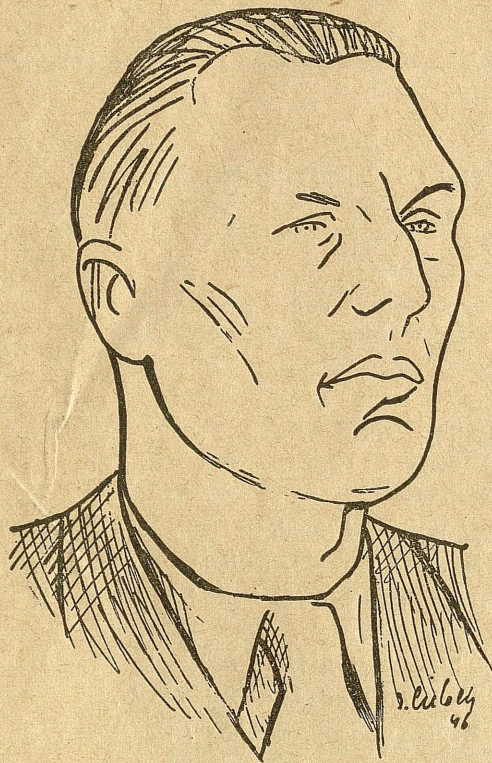


Józef Czechowicz

## „Miesionc mordom ciepie nisko”\*)

Rzecz o poezji Pawła Kubisza nie może się zacząć inaczej jak krótkim porachunkiem z twórczością gwarową.

Sprawa ta oddawna w Polsce kipi, lecz wykpić nie może. Jedni, skoro mowa o utworach pisanych gwara, mniejsza o to, prawdziwa, czy stylizowana, wzruszają ramionami; dla nich pisarstwo takie jest poza kręgiem literatury. Inni, nie wnika-  
jąc w moc sztuki, witają entuzjastycznie każdy dziwoląg trącający jędrnością naszych gwar.



rys. St. Cieloch

PAWEŁ KUBISZ

A przecież ni tak ni siak nie można owej kwestii postawić. Oddajmy cesarskie cesarzowi i boskie Bogu: „Chłopi”, „Na skalnym Podhalu”, niektóre t. zw. góralskie wiersze Tetmajera to naprawdę majstersztyki. Mowa tych utworów jest żywa i jakże bliska ostatecznym osiągnięciom.

Majsterstwo autorów dało jej ten blask. Gwara sama przecież nie jest zasługą ni tytułem do Parnasu. By dzieło zyskało blask, jaki zostawia niewidzialna stopa muzy. trzeba koniecznie muzy. Uwidacznia się ona w stopniu harmonii, wiążącej charakter utworu z charakterem jego gliny, jego tworzywa. Nie wszystko bowiem nadaje się do gwarowej twórczości. I tak jak z poza „literackiego” rzekomo języka niektórych dzieł napisanych przez surowych kulturalnie pisarzy pochodzenia chłopskiego widać wilcze łapy, tak też, gdy utwór pisany jest gwara, a obraca się w atmosferze niezgodnej z rustykalnym sposobem reakcji — porzywa „śmiech pusty, a potem li-  
tość i trwoga”.

Bo gwara pasuje przede wszystkim do epiki, jako że chłop, lud ma epickie widzenie świata, a nurt liryczny wstydlawie ukrywa przed sobą i innymi. Chłop prawdziwie sentymentalny byłby najśmieszniejszym chyba człowiekiem. Chcę powiedzieć, że do liryki w ścisłym tego słowa znaczeniu, do liryki czystej, gwara nie nadaje się, bo jest nieliryczna, nieodcieniowa, nie trafiająca mimo, niekołująca.

Dlatego w utworze prawdziwie lirycznym, przynajmniej w moim rozumieniu liryki, może mieć zastosowanie jako cytata, jako motyw, wiersz czy też dwuwiersz — nigdy zaś jako sedno tworzywa słownego.

Nie wynika z tego, że liryka gwarowa to coś nie do napisania. Jeżeli będzie w niej duży ładunek epickości, napięcie silnych uczuć niemal dramatyczne, nie zgrzytnie w czytelniku fałszem. Ale przecież to jest dość dalekie od naszych bądź co bądź mieszańskich pojęć o tym dziele poezji.

Mówi się (czasem z przekąsem, czasem z zachwytem) — poezja ludowa! Ale poezja ludowa prawie nigdy nie jest liryczna. Pieśni opowiadające o czymś, o Kasi co kapiała koniki, te perły pieśni ludowej są właściwie balladami, epiką. W ostatnich czasach namnożyło się twórców regionalnych. Jedni piszą byle co, bez żadnych ambicji, byle się wyżyć gwarowo, inni mniej lub więcej szczęśliwie idą wwyż, wspierając swą siłę poetycką na języku ludowym. Poezje Pawła Kubisza należą do najlepszych rzeczy w tym rodzaju.

\*) Przedruk z „Ateneum” nr. 1, rok 1938, str. 162.

„Przednówek” ma jędrny smak epiki, co od razu daje do zrozumienia, że nie gra on melodiami, lecz jest czymś konkretnym, twardym jak dłonie górników. A są to wiersze o buntach przeciw uciskowi, o nędzy górskiej, o chwale czasu zbójnickiego, o bijatyce w karczmie, o tych co poszli „za chlebem”. Sprawy owe Kubisz opiewa mocno, mroczno i surowo. Czytając, wie się od razu, że to nabrzmiałe cierpieniem słowa tamtejszego człowieka, autochtona. Kto inny nie czułby tak śląskich bied, mógłby im najwyżej współczuć.

I tamtejszej to mowy zasługa, że poezje „Przednówka” błyskają tu i owdzie pięknosciami staropolszczyzny. Gwara tej dzielnicy naszej Ojczyzny, dzielnicy niemczonej i czechizowanej zawzięcie, przechowała przecież tak wiele form językowego staro-  
wieku, tak wiele czarów mowy jagiellońskiej.

Poeta pisze: „... na czornym niebie białych róż bagnety”... „nie zwódź synku, mje na pole w sianie leżyć i omdlywać”... „szepcze noc, mówi, wydziwio — hanej w stawach gwiozdy pływiom...”

A o księżycu: „... miesionc mordom cie-

pie nisko”... „kolanami miesione kopie w poźłocnym gwieździe sнопie”...

Oto większa próbka wierszy z łez, gniewu i skargi:

...Tam pod lasym na buczynie  
kąsek świata we mgle płynie —  
tamżech posoł sztyry krowy,  
synek mały i niezdrowy.

Tamżech se pieśniczki śpiywół,  
na piszczołce se wygrywół —  
ciurlikały mi zwóneczki  
co nosiły ich krówneczki.

A kiej jesień sie kapala  
w pajęczynie mrozym ślała, —  
to jo boso krowy posoł  
i zębami z zimna cisoł.

Puchły z mrozu mi palczyska,  
a na nodze dwa wrzodziśka.  
Taki sine i czyrwiłone —  
pęczniały mrozym nabrniłone...

W ostatnim wierszu tego utworu zmieniła się ilość sylab i załamał się szereg akcentacji. Nierzadkie to zjawisko w poezji

Stefan Lichański

## Poezja Pawła Kubisza

Paweł Kubisz: *Przednówek*, wydanie drugie, Łódź, 1946. Nakładem Oddziału Wiejskiego Związku Zawodowego Literatów Polskich. Str. 92+4.

Paweł Kubisz pisze gwara. Okoliczność ta prowokuje do rozprawiania na temat „samorodności”, „rodzimości” jego poezji. Trzeba jednak zdać sobie sprawę, że naprawdę gwarowa jest tylko poezja bezimienna, owe śpiewki układane przez anonimowych poetów z Bożej łaski. Gwara jest w tym wypadku naturalnym systemem językowym autora. Posługuje się on gwara nie koniecznie dlatego, że nie potrafi użyć języka literackiego, ale przede wszystkim dlatego, że gwara najlepiej przystaje do tego zespołu pojęć i uczuć, które pragnie on w swojej piosence wyrazić.

W każdym innym wypadku gwara jest systemem językowym obcym, zastosowanym przez poetę dla osiągnięcia pewnych zamierzonych efektów. Gwara staje się wtedy narzędziem poetyckiego wyrazu, podobnie jak np. przenośnia czy porównanie, i najważniejszym musi być dla nas nie sam fakt użycia gwary, ale sposób jej stosowania.

Ażeby zaklasyfikować we właściwy sposób poezję Kubisza sięgniemy do niej samej. Zestawmy ze sobą dwa następujące fragmenty z tego samego utworu: „Co to młody gorol prawil, jak sie mu na śmierć niośło”. Oto pierwszy z nich:

Trówły mi tam nie ciosejcie!  
Ani krzyża nie strugejcie —  
Ani mi kadzidłom kadźcie,  
Ani o pogrzebie radźcie...

Strofa ta jest jakby żywcem wyjęta z autentycznej pieśni ludowej, formą swoją przypomina ona tak dawne zabytki naszej poezji jak „Legenda o świętym Aleksym” czy „Rozmowa mistrza ze śmiercią”, utwory pochodzące z okresu, kiedy nasz język literacki dopiero kształtował się i wyodrębnił z mowy potocznej. Jakże odmiennie brzmi inny fragment tego samego utworu:

Twardo, silno, uporczywie —  
Chcym rzymkocić słowom w gniywie,  
Chcym buntować sie... przeklinać,  
W ziąb i boleść słowa ścinać!

W poszarpaniu całej duszy,  
Wszystko w bezpamięć rozkruszyc,  
Strzaskać, zburzyć, postarasić —  
W nic ostatni czuci zgasić!

Język obu cytowanych fragmentów jest ten sam, ale zawartość treściowa drugiego z nich przywodzi na myśl raczej lirykę Tetmajera niż pieśń ludową.

Fragmentów takich znajdziemy w „Przednówku” sporo. Sporo jednak będzie i fragmentów o wysokim procencie autentyzmu ludowego. Mamy więc w poezji Kubisza stałe zderzenia się dwu tradycji literackich: ludowej i artystycznej, przy czym żadna z nich nie przeważa nad drugą w sposób wyraźny.

Pozwala to na postawienie wniosku, że posługiwanie się gwara jest u Kubisza rezultatem świadomego założenia. Kubisz pisze gwara, bo chce nią pisać, chce wypowiedzieć region zaolziański językiem tamtejszego ludu.

Jedynym wyjściem było w takim wypadku stylizowanie gwary, wykorzystanie jej w sposób mniej więcej analogiczny do tego, w jaki Sienkiewicz wykorzystał w „Trylogii” polszczyznę siedemnastego wieku, tworząc fikcyjny właściwie język, z punktu widzenia historycznej wiedzy może mocno wątpliwy, ale najzupełniej przekonujący jako kreacja artystyczna. Kubisz starał się zachować jak najdalej posuniętą wierność wobec gwary Zaolzia, ale nie chciał jednocześnie rezygnować z przyswojonej sobie tradycji literackiej. Rezultatem tego jest szpikowanie wierszy gwarowych, niby to oddających życie duchowe chłopów i górników śląskich zwrotami takimi jak np.: „I zagwizdoł nocom czar-  
nóm, tajemniczóm i upiornóm...” „Ciyrpini wzrosło pod kose, dozdrzało w żniwo cinyżarem...” „Cisza drzymała na błyskawic grzbiecie...”. Bardzo żywo przypominają się tu takie osobliwości literackie jak np. dokonany przez Stanisława Witkiewicza przekład „Kwiatków św. Franciszka” na gwara góralską. Koncepcja artystyczna i językowa „Przednówka” jest zasadniczo chybiona: w książce tej przeplatają się ze sobą bezładnie treści psychiczne przynależne do odrębnych kręgów kulturowych, co daje wrażenie artystycznego chaosu i braku konsekwencji myślowej.

Jeżeli chcemy dotrzeć do tego, co w „Przednówku” jest żywe i cenne, co czyni tę książkę pozycją godną uwagi, musimy odsunąć na bok to wszystko, co w tomie tym jest „literaturą”. Literacka bowiem tradycja Kubisza — to Młoda Polska, to przede wszystkim Wyspiański i Tetmajer. Kubisz staje się przekonywujący jako poeta dopiero tam, gdzie wyzwala się z młodopolszczyzny i deklamatorskiego patosu, gdzie próbuje znaleźć ton własny, gdzie zaczyna być surowy i niepokojący — ale zarazem poetycko świeży:

Mgły sie toczóm pańskim rżyskim,  
Miesionc chybie po nich pyskim —  
Miesionc gębe rozdziawuje,  
Umrzył kowół — już nie kuje...

W takich dopiero fragmentach gwara staje się systemem językowym jedynym i niezastąpionym, dając efekty niemożliwe do osiągnięcia w języku literackim. Czy możemy np. wyobrazić sobie następującą strofę jako napisaną „normalną” polszczyzną:

Jarganki dzierzým w gębie,  
Pod dzikim stojým dębým —  
Szuści pieśniczka, jargo —  
Płacze pod mokróń wargóm!

Fragmenty takie świadczą najlepiej, że Kubisz tkwi mocno w życiu duchowym swego regionu i skoro tylko wyzwala się od wtórnej literackości, umie to życie wyrazić w sposób mocny i przekonujący.

Kubisza. Bywa i tak, że ów ciąg akcentacyjny przeobraża się gdzieś bez zmiany liczby przycisków. Przykład:

...Pije chachar — grej muzyko!  
Pótnoc w godzinach kuwiko;  
strybno noc sie na świat dziwo...

Niezamierzony zapewne efekt, bo o takie rzeczy chyba pocie „Przednówka” nie chodzi, przypomina swą prostotą kunszt rymotwórczy wdzięcznych hortulusów z XV i XVI wieku.

Wiersze Kubisza wró od czasowników: zażroć się, nadawać, tyrczyć, zmiroć, rymkocić, szkabić się, szczyrkotać, dlaboczyć. Doprawdy niewiadomo czy gwara nadolziańska tak je rozpleniła, czy też może z dawności przechowała. Na kartach „Przednówka” spotykamy się bowiem też z wieloma słowami i formami, przebrzmiałymi, napewno starymi, co przebrzmiewają w naszych uszach echem Czarnolasu, a może lamentów świętokrzyskich: umrzyty, tamżech, grof, putyka, trówła — to znamy.

Ta książka jest lamentem cieszyńskim, śląskim, co przywalony głazem grobowym nie cichnie. Jeśli o kim można powiedzieć, że wypowiedział rozpacz ludu tamtejszego, to chyba o Kubiszu, ciosającym wiersze toporem, wiersze ciemne, pełne czekania, że wreszcie będzie inaczej, pełne porwania się ku jutru. Głoszą one nie tylko dolę śląską, ale i więcej: ludzką.

Nie liryka jednak jest dla Kubisza właściwszym rodzajem literackim. Najlepiej wypadają u niego utwory o charakterze bardziej epickim, jak np. świetny obrazek rodzajowy „W Gutach jest muzyka”, czy ów słynny, wielokrotnie przedrukowywany fragment wiersza „Co to młody gorol prawil...” zaczynający się od słów:

Tam pod lasym na buczynie,  
Kąsek świata we mgle płynie. —

Kubisza pociąga retoryka, patetyczna deklamacja liryczna i dla niej zaniedbuje on epikę, na terenie której najwięcej miałby do powiedzenia. (Hierowski uważa, że „Ballada o hawirskim Śląsku” jest utworem epickim. Jest to jednak cykl wierszy, zawierający parę zaledwie utworów o charakterze epickim. „Ballada” jest akurat w takim samym stopniu eposem, jak „Śpiewy historyczne” Niemcewicza lub „Ze starych zbroie” Lenartowicza).

Kubisz posiada silny zmysł rzeczywistości, jest poetą konkretnym i dlatego mimo pewnych dłużyzn i słabizn jak mocno odcinają się utwory takie jak „Rebelija goroli w Mostach”, „Hawirz Karol Klimsza”, „Jutrznia w Gruszowie”, oparte na materiale zdarzeń rzeczywistych, od utworu takiego np. jak „Był we Frydku... był grof srogi” stylizowanego na romantyczną baladę (ale w neoromantycznym sosie à la Tetmajer).

Mimo wszystkich swoich wad i niedociągnięć „Przednówek” jest książką żywą. Żywa i w oddziaływaniu jako całość — jednolita. Zapewnia jej to w ostatecznym rezultacie nie język, ale wewnętrzny nurt żywiołowej pasji przesycającej tę książkę. Miłość, nienawiść, gniew, rozpacz — te wszystkie uczucia, które leżą u podstaw każdej twórczości będącej czymś więcej niż popisem rzemieślniczej zręczności, które przepajają dzieło sztuki najgłębszą treścią ludzką, humanizują je — kipią wprost z twardych, chropawych strof „Przednówka”.

I oto największy niezaprzeczalny walor tej książki: zamknęła ona w sobie tragizm losów Zaolzia, tragizm kraju oderwanego od macierzy. Stróżami Kubisza przemawia pewna zbiorowość, przemawia społeczność ludzka, która do dna poznała smak krzywdy.

Pozornie jest to sens książki pozaliteracki, ale wczytawszy się głębiej w „Przednówek” z łatwością się zorientujemy, że właśnie problemy krzywdy społecznej i narodowej były momentami wyzwalającymi żywioł poetycki, zmuszającymi autora do wypowiedzi. Rzecz w tym, że Kubisz nie skomplikował sobie zadania, że szukał wypowiedzi najbardziej bezpośredniej zamiast szukać poetycko najskuteczniejszej. W każdym bądź razie „Przednówek” jest w literaturze naszej pozycją odrębną i ważką, bowiem wniósł do niej ton własny i jedyny. Można sprzeczać się o literacką rangę książki Kubisza, ale trzeba przyznać, że bez niej literatura polska byłaby uboższa o jedno nader oryginalne zjawisko.



Czesław Jastrzębiec-  
Kozłowski

# »MIREJO« — POEMAT

Prowancja — jest to obszerna kraina we Francji południowo - wschodniej; stolicą jej jest Aix. W wiekach VII—VIII Prowancja została najechana przez Saracenów. Od roku 1032 należała ta kraina do Cesarstwa, następnie do hrabiów Barcelony. Ostatecznie przeszła do korony francuskiej dopiero w roku 1481.

Język prowansalski należy do rodziny romańskich, tj. pochodnych od łaciny. Od francuskiego różni się ona bardzo — znacznie więcej, niż na przykład rosyjski od polskiego; zbliżony jest do języka, jakiego się używa w hiszpańskiej prowincji Katalonii. Dla Francuza, znającego tylko język literacki, jest on zgoła niezrozumiały.

Po przyłączeniu do Francji, właściwa kultura Prowancji zaczęła obumierać, ulegając stopniowo wpływowi daleko żywotniejszego i bardziej twórczego ducha umysłowości francuskiej. Język, ongi tak bujnie i pięknie rozkwitający, zaczął powoli spadać do stanowiska narzecza miejscowego. Cała inteligencja prowansalska sfrącała. Dawna mowa trubadurów, delikatnych i wytwornych poetów stała się gwarą, używaną wyłącznie przez lud.

Jednak w połowie ubiegłego stulecia następuje zwrot. Kulturalniejsza część społeczeństwa prowansalskiego, aczkolwiek ukształtowana w duchu francuszczyzny, zdaje sobie sprawę, iż szkoda by było, aby tak piękne narzędzie, jakim jest język prowansalski, powoli przestało być używane. Rodzą się tęsknoty do minionej świetności kulturotwórczej. W roku 1854 kilku uzdolnionych młodych poetów rozpoczyna tak zwany ruch felibrystyczny. Félibre można by przetłumaczyć po polsku na „księgorób” czy „księgo-pis”. Poetami tymi byli: Aubanel, Brunet, Mathieu, Mistral, Roumanille, Tavan i Glé-ra. Postawili sobie za cel odrodzić język i literaturę prowansalską. Dzięki znakomitym swym talentom, wywarli szeroki i głęboki wpływ. Związek ich przetrwał długo, po ich śmierci znaleźli sobie godnych dziedziców, i podobno dziś jeszcze działa w całej Francji południowej — choć nie wydaje się zresztą, by piśmiennictwo prowansalskie miało istotne widoki samodzielnego rozwoju na przyszłość, wobec o tyle silniejszej literatury francuskiej.

\* \* \*

Najwybitniejszym spośród „felibrów” jest niewątpliwie Fryderyk Mistral, poeta ludowy, poeta - chłop. Urodził się w roku 1830, jako syn zamożnego gospodarza. Od dziecka dawał dowody wielkich zdolności. Ojciec, ulegając ówczesnej modzie, chciał koniecznie zrobić zeń „miejskiego pana” — t. zn. inteligenta, który by na całe życie porzucił wieś, jej sprawy, jej zainteresowania. Szczytem marzeń starego Mistrala było, żeby Fryderyk został „panem adwokatem”. Wysłał go do szkół i na uniwersytet. Pilny Fryderyk uczył się doskonale, posładł grekę, łacinę, po czym, gdy ojciec umarł... wrócił na wieś do owdowiłej matki, objął gospodarkę i postarał się czym prędzej zapomnieć o istnieniu języków klasycznych. Natomiast rozmiłował się całą duszą w języku i poezji swojej ścisłej ojczyzny — Prowancji. Niebawem zaczął sam próbować sił w dziedzinie twórczości poetyckiej. Pisał w wielkim skupieniu ducha, odosobniając się całkowicie od ludzi, zgola nie myśląc o przyszłych czytelnikach. Jako 25-letni młodzieniec napisał dzieło, które miało szeroko rozstawić jego imię: niewielki poemat sielankowy „Mirejo”, później, z biegiem lat, pomnażany, wygładzany, rozszerzany aż do pokaźnych rozmiarów, jakie ma w ostatecznej redakcji.

W roku 1861 doczekał Mistral niebywałego zaszczytu: za jego „gwarową” Mireję Akademia Francuska przyznała mu nagrodę.

\* \* \*

Znakomity poeta francuski Lamartine opowiada, że w roku 1859 wpadł doń któregoś dnia rozentuzjazmowany do nieprzytomności Adolf Dumas, również Prowansalczyk rodem. Już od progu krzyczał, szeroko gestykulując, że przybywa jako zwiastun radości nowiny, że stał się cud, że się narodził wielki, ba, największy poeta epicki naszych czasów!

— I któż to jest? — zapytał Lamartine — dosyć sceptycznie.

— Fryderyk Mistral, mój sąsiad wiejski! Zobaczysz, co to za geniusz!

— Ileż ten twój geniusz liczy sobie lat? — badał ostrożny Francuz.

— Dwadzieścia pięć!). Jutro ci go przed-

stawię. Zaproś nas na obiad. Widzę, że jesteś nieufny. Ale to nie potrwa długo. Mistral przeczyta ci swą wiersze, a będziesz więcej oczarowany, niż ja.

Ta przepowiednia nie bardzo się sprawdziła — na razie. Nazajutrz Adolf Dumas wprowadził do Lamartine'a młodzieńca przystojnego, znakomicie zbudowanego, ubranego ze skromnym wdziękiem. Młodzieniec zachowywał się uprzejmie, poważnie, z wielkim poczuciem godności. Mówił niewiele, wołał słuchać. Gdy go poproszono o odczytanie

jego wierszy, nie odczytał wcale, nie okazywał ani przesadnej ambicji, ani też najmniejszego bodaj zakłopotania. Wiersze spodybały się Lamartine'owi, wcale jednak nie wywołując jego entuzjazmu. Dumas nie był tym bynajmniej stropiony; zdawał się mówić sobie w duchu, że co się odwlecze, to nie uciecze.

Jakoż w rzeczy samej — „nie uciekło”! Na odchodnym Mistral zostawił panu domu do przeczytania swój poemat pt. „Mirejo”. Lamartine przeczytał — czytał całą noc,

odczytywał cały następny dzień... i w swej admiracji prześcignął Dumasa!

Powiada Lamartine:

— Narodził się wielki poeta epicki!

Poeta, który z narzecza, od dawna już nie uprawianego literacko, potrafił stworzyć dostojny język klasyczny, tak jak Petrarca stworzył język włoski. W poezji jego żyje cała Prowancja — jej prace, jej nabożność, jej naiwna uczuciowość, jej przegrady, jej głęboki, choć nie deklamatorski patriotyzm.

FRYDERYK MISTRAL

Przełożył Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

## M I R E J O

„WALKA” — FRAGMENT Z PIEŚNI PIĄTEJ

Otóż, mówię, któreś odwieczerzy,  
na drożynie, która przez Krau bieży,  
Uriasz z Wickiem spotkali się. — Grom  
bije w pierwsze napotkane drzewo,  
kiedy burza nadciąga z ulewą.  
W takich słowach lutym swoim gniewom  
upust tedy dał krowiarz: — „A tom

pysnie trafił! Tyżeś, obdartusie,  
..... synu, urzekł Mirejusię?  
Tak czy owak, skoro idziesz tam,  
to jej powiedz ode mnie, że o nią  
i jej buzię tyleż dbam gawroniā,  
co o łachy, które grzbiet ci chronią!...  
Słyszysz, piękny gachu ślicznych dam?”

Drgnął Wincenty. Z samej głębi ducha  
Z biciem serca płomień mu wybucha  
jak z pasterskich na równinie wiatr.  
— „Guza szukasz? Ochota cię bierze,  
bym ci, chamie, przetrzącił pacierze?” —  
ryknął strasznie, jak gdy płowe zwierzę,  
nim na zdobycz runie, węszy wiatr.

Aż mu nozdrza drgają ze wściekłości.  
Uriasz na to: — „Porachujesz kości,  
jak cię praszę o ziem, psia ci mać!  
Tyż to będziesz mi groził, chucherko?  
Dobryś na to, by dźwigać puzderko,  
babom nosić ze studni wiaderko,  
pleść koszyczki, pod kościołem stać!”

— „Właśnie! — podjął Wicek: — tak ci szyję  
skręcę, jak się koszyk z łozy wije  
lub jak głupią uśmierca się gęś.  
Wiej, wiej, tchórze, i to wiej znienacka,  
bo już potem — na świętego Jacka! —  
nie uciekniesz, gdy skosztujesz placka,  
który da ci ta żelazna pięść!”

Rad, że złość swą na kimś wyrzucić może,  
podjął Uriasz: — „Chwileczkę, nieboże!  
Fajkę sobie wypalimy wpierw”.  
Dobyl kapciuch z kozłej skóry, duży  
czarny cybuch, który wnet zakurzy,  
i w dym patrząc, co się miękko smuży,  
rzekł wżgardliwie, wśród pykania przerw:

— „Czy ci nigdy, wędzony ty śledziu,  
nie śpiewała o Jasiu-Niedźwiedziu  
twoja matka-Cyganicha, co?  
Kiedys, wołów dawszy mu dwie pary,  
orać ziemię posyła go stary.  
A wtem Jasio wyprostował bary  
i lekkuchno, niby słomy żdźbło,

na sam czubek wysokiej topoli  
śmignął jeden, drugi przeżaj woli,  
z nimi razem miotnął też i pług. —  
Ze topola tutaj nie wyrosła,  
dziękuj Rogu”. — Wicka złość uniosła:  
— „Ty byś nie śmiał z miedzy spędzić osia,  
w gębieś tylko mocny, dalibóg!”

I jak wyżeł, czujnymi oczyma  
śledząc zwierza, w bezruchu go trzyma,  
tak na wroga baczyl młody zuch.  
— Cóż, drażgał? Sam ze swej chabety  
zleziesz, czy też mam cię zdjąć? O rety!  
zmiękłeś jakoś, gdy trzeba niestety  
czynem dowieść, kto lepszy z nas dwóch?”

„Drwinek ci się zachciewa, jolopie?  
Jak burzami wiecheć, tak cię skopię!  
Chcesz wycierać swój paskudny pysk  
kwiatem pańien, Mireją? Dla Boga!  
ja, słabeusz, nędzny powsinoga,  
sprawię, żeby twa obelga sroga  
w krwi się twojej pograżała bryzg”.

— „Cie go! — wrzaśnie skotarz. — A, ty łachu,  
ty cyganie, ty kuchenny gachu!  
Niech no zejde na ziemię, do stu!...“  
Na bok leca kurtki i rzemyki,  
pod nogami chrzęszczą im kamyki;  
spluną w garście i niczym dwa byki  
obaj runą na siebie bez tchu.

Gdy na stepie słońce żarem pali,  
dwa buhaje zobaczyły w dali  
zad szeroki i jedwabną sierć  
młodej krowy. Grom się w nich zapala,  
jurna żądza w żyłach się przewala,  
krwawym okiem łupią na rywala,  
wzajem łakną zadać sobie śmierć.

Drga im skóra od tajonej siły...  
Wzięły rozpęd — i już się zderzyły.  
Dudnią razy spuszczonego łba  
o łeb wroga. — Mordercza i mężna  
będzie walka, bo to niebosiężna  
moc Amora wdała się; potężna  
miłość obu zapasników żga.

Tak się wodzą dwaj szermierze nasi,  
tak się tłuką, wzajem krwi swej łasi.  
Uriasz pierwszy dostał pięścią w nos,  
lecz gdy Wicek chciał poprawić mu go  
i już pięścią zamierzył się drugą —  
ów ogromną łapą, jak maczugą,  
w twarz Wickowi tęgi zadał cios.

\*) Właściwie w roku 1859 Mistral miał już skończonych lat 28.



# FRYDERYKA MISTRALA

— Włos mi już bieleje, a od młodości śle-  
cze nad księgami. Poznałem i podziwiałem  
wszystko, co poezja wielu narodów stwo-  
rzyła najpiękniejszego. Wśród autorów, któ-  
rych ukochałem, są geniusze niebotyczne.  
Czemuż żaden z nich — żaden, powtarzam,  
z wyjątkiem jednego tylko Homera — nie  
zdołał tak głęboko mnie wzruszyć, tak prze-  
jąć na wskroś, jak ten skromny poeta  
wileński?

— Wiecie, co bym uczynił, gdybym był  
bogaczem, albo gdyby mnie powołano na sta-

nowisko ministra oświaty? Kazałbym odbić  
„Mireję” w sześciu milionach egzemplarzy  
i rozesłałbym te księgi do każdej chłopskiej  
chaty. Oto bowiem literatura, jakiej wieś po-  
trzebuje: czystość, prostota, piękno bez  
ozdobności, czułość bez mizdrzenia się, nau-  
ka prawości charakteru, nauka rzetelnej  
szczerości wobec życia i siebie.

Właściwy watek poematu jest arcyprosty.  
Młodziutka Mirejo, zamożna córka gospodar-  
ska, zakochała się — z gorącą wzajemno-

ścią — w ubogim koszykarczyku. Sprzeciw  
rodziców, stanowcza postawa dziecięcia...  
smutne zakończenie własnianej miłości... oto  
poprawdę i wszystko. Ale watek ten opar-  
te na przebogatym materiale opisowo - poe-  
tycznym.

Faktura Mistrala nie jest jednak bynaj-  
mniej realistyczna w dzisiejszym tego słowa  
pojęciu. Mamy tu wyraźną przewagę „sie-  
lankowości”: ujemniejsze, twardsze, ordy-  
narniejsze strony życia ulegają rozmyślnemu  
zatuszowaniu, co nieraz sprawia wrażenie

pewnego przesłodzenia. Juści, dzisiaj jużby  
tak żaden poeta nie pisał. Ale — *dotingue tem  
pora!* należy rozróżniać czasy. Nie bądź-  
my szowinistami dzisiejszości, umiejęmy so-  
bie przyswoić twórcze piękno epok minio-  
nych.

Nie widzę potrzeby wdawania się w  
szczegółowy rozbiór utworu, który czy-  
telnikowi naszego tygodnika nie jest jeszcze  
znany. Wolę tylko zwrócić uwagę na to,  
w jak znacznej mierze Mistral czyni zadość  
wymaganiom, które i dzisiaj słusznie można  
postawić twórcom poezji dla wsi. Zacytuje  
Cierniak:

„Lud jest grupą społeczną młoda, jeszcze  
niewyżyta, znajdująca się dopiero przy po-  
ranku swego żywobycia, stąd może tu być  
mowa o młodości, entuzjazmie, walce, bo tu  
daleko do zmierzchu, daleko do rozkładu i  
śmierci. Zjawia się potrzeba i pewnej wizji  
przyszłości i bohaterstwa. Ale ta treść musi  
być budująca, dźwigająca i krzepiąca, a  
więc zdrowa, daleka od przestępczości, roz-  
pasania moralnego, czy taniej ciekawost-  
ki. Potrzebna jest i wesołość, ale wesołość  
bez zgnilizny... Chłop interesuje się zagad-  
nieniami społecznymi, państwowymi i w ogó-  
le ludzkimi, ale niechże te zagadnienia będą  
podane bez trucizny i w formie czystej. I  
miłość między mężczyzną a kobietą winna  
być treścią dramatu ludowego, bo i to uczu-  
cie żyje w chłopie, ale niech nie będzie te-  
go karmelkowego „gruchania” lub ordy-  
narniej czy kulturalnie wyrażonej zmy-  
słowości”.

...Postacie winny być wyraźne, określa-  
jące się raczej w działaniu niż mówieniu,  
bez nadmiernych labiryntów psychologicz-  
nych — i odwrotnie, bez zupełnego wypra-  
nia z jakiegokolwiek pasji, namiętności”.

— Jakoż czytałem w książce pewnego wy-  
trawnego znawcy naszych stosunków wiej-  
skich, że chłop, aczkolwiek w żywej mowie  
chętnie i często nadużywa wyrazów gru-  
bich, ordynarnych, — drukowane słowo sza-  
nują tak bardzo, że mierzi ich i odraża po-  
sługiwanie się brzydkimi wyrazami w piś-  
miennictwie.

Ciekawe są wywody L. H. Morstina na  
temat głodu wielkiej poezji u chłopów pol-  
skiego: \*)

„Zrobiłem eksperyment, wystawiając na  
wsi polskiej „Antygone” Sofoklesa przed ko-  
lumnami starego pałacu. Widzami byli go-  
spodarze wiejscy i robotnicy rolni (a wy-  
konawcami ich córy). Łzy w oczach tych  
włdów i zaparty oddech z jakim wysłu-  
chali tragedii od początku do końca świad-  
czył o niezniszczalnej przez wieki wielkiej  
potędze genialnej poezji”.

I jakże słusznie dodaje:

„Należy tylko pamiętać o tej naczelnej  
zasadzie: nie obniżać tonu, nie zmuszać twór-  
ców do zastosowania się do gustów szerokiej  
publiczności, a tylko publiczność przy-  
zwyczajając do sztuki natchnionej i szczyt-  
nej”. Chłop bowiem „byłby obrażonym  
i urażonym w swoim poczuciu równouprawnie-  
nia, gdyby dla niego dawano inne sztuki,  
a inne dla elity umysłowej”.

\* \* \*

Przytoczyłem te słowa, ponieważ podkre-  
ślają one konieczność daleko żywszego niż  
dotąd zainteresowania się inteligencją wiej-  
skiej sprawami wsi. A sądzę, że takie wiel-  
kie poematy jak Mirejo mogą się w pew-  
nej mierze do tego przyczynić.

\* \* \*

Czy możliwe jest przeprowadzenie para-  
leli: między naszym ruchem „zakopiańskim”  
(Chafubński, Witkiewicz, Tetmajer) czy jest  
on historycznym odpowiednikiem francuskiej  
mody „prowansalskiej”?

— Zapewne, niejako analogie zachodzą  
istotnie. Ani tu ani tam — nie ma elementu se-  
paratyzmu politycznego. Fellbrowie tak sa-  
mo czuli się prawymi Francuzami, jak nasi  
„Zakopianie” — Polakami. To nie separa-  
tyzm, to tylko regionalizm. — Jednak róż-  
nica jest więcej, niżli podobieństw. Przede  
wszystkim, gwara zakopiańska jest prawie  
całkowicie zrozumiała dla każdego Polaka,  
gdy prowansalszczyzna nie zrozumie nieje-  
den Francuz, znający tylko swój język lite-  
racki. Po wtóre, u nas chodziło w zakresie  
językowym o to, by z gwary czysto ludowej  
uczynić mowę literacką. Tam — nawiązano  
do zapomnianej, ale świetnej w swoim cza-  
sie kultury językowej już istniejącej.

Czesław Jastrzębiec-Kozłowski

\*) W artykule pt. „Teatr antyczny, a my”.

— „Masz, masz, masz tu!” — „Skosztuj tego bożu!”

„Smaczna sójka?” — słyhać ze stron obu. —

„Liczy, gamoni, który-m ci już trzon  
ze szczęk wytlukł!” — „Raczej ty, bękarcie,  
rachuj, które ci juchy półkwarcie  
wytoczyłem, gdy ze skóry zdarł cię  
tego małego mego palca szpon!”

To przysiądą aż im trzeszczą pludry,  
to podskoczą — i nuże na udry!

Bark się z barkiem, łokieć z łokciem zwiódł.  
ramię kurczy się, związa, wypręża  
jak gdy kijem podrażni kto węża,  
żyły tańczą, żrenica się zwęża,  
mięśnie lydek napina im trud.

Teraz w długim zastygli bezruchu.  
Jak gąsiątko ciężkie wśród łopuch  
bije skrzydłem, ci dwaj, stojąc wprost,  
robią tylko bokami. Ich bary,  
przeciwważąc wzajemne ciężary,  
nieruchome są jak te filary,  
co Gardoński wielki dzierżą most.

Rozłączyli się — i już na nowo  
pięści młockę podjęły miarową,  
do moździerza znowu spada tłuk.  
Już w robocie paznokcie i zęby.  
Jakie straszne ciosy grubokłęby  
sypie Uriasz! Jakże mu do gęby  
Wicek rzuca się, na miły Bóg!

Moc miażdżąca ma kulak pastucha;  
ale zwinna błyskawiczność zucha  
z Walabregi, by stokrotny gład  
wypuszczany z procy, w oczach mięga.  
Tu, tam, owdzie nasz Wincenty śmiga,  
że nie chłopiec zda się to, lecz fryga.  
„Masz, hultaju, skończmy z tobą raz!”

Lecz gdy w tył się odgina, by jeszcze  
mocniej kropnąć, silacz go jak w kleszcze  
chwytą nagle za boki, i już  
prowansalskim sposobem za siebie  
(jak gdy zboże łopatą się grzebie  
i przeżarnia) cisnął go... Na glebie  
pół — Wincenty wyrznął twarzą w kurz.

— „Ryjesz mordą ziemię? Mój robaku,  
jeśli tak ci brudny kurz do smaku,  
to się nie wstydz, śmiało pij i żryj!”  
— „Stul paszczkę, ty jasna cholero!  
Kończą walkę trzy ciosy dopiero!” —  
huknął Wicek, nienawiścią szczerą  
płonąc, milion czując w sercu żmij.

Bo szlachetna duma żga jak kolec...  
Albo pomścić niesławę, lub polec!  
Chłopak zerwał się z ziemi jak smok,  
z niesłychaną na swój wiek odwagą  
znow przypada do dzikusa, pcha go  
i z rozmachem na pierś jego nażą  
spuszcza kulak, by morderczy tłok.

Ów się zachwiał... maca ręką, gdzieby  
mógł szerokich pleców oprzeć żleby;  
lecz z zamglonych oczu jego znać,  
że wiruje przed nim okolica;  
pot mu zimny wystąpił na lica...  
I z łoskotem, jak w gruzy — dzwonnica,  
wielki Uriasz padł na landy gładz!

Landa milczy. Na piersi olbrzyma  
zwalonego — młodzik butnie trzyma  
swą zwińską stopę. Jeszcze, wbrew  
tym uciskom, celsko się pastucha  
chce poderwać, lecz, jak bycza jucha,  
z ust i nozdrzy strumieniem mu bucha  
umęczona i czarniawa krew.

Trzykroć sili się, choć mniej już dziarsko,  
strąci wrząc nogę koszykarską,  
lecz po trzykroć Ambrożego syn  
znow obala go i stopą tłoczy.  
Tamten błędne w ślup wytrzeszcza oczy,  
dech ze świstem łapie, pianę toczy,  
rozdziawiwszy gębę niby lin.

— „Snaż nie wszyscy — wołał mu Wincenty —  
są ci łaciami, bandyto przeklęty!”

Wróć do swoich bydlatek i mów  
o mej pięści krowom i buhajom!  
Ze swą hańbą Kamarę zaznajom,  
rozgiń, jak się tu szczęści hultajom,  
kryj swe guzy wśród wołów i krów!”

Co gdy wyrzekł, puszcza dzikie zwierzę. —  
...Strzygąc tryka, postrzygacz go bierze  
między oba swe kolana; lecz,  
skoro tylko zdjął mu ciepłą suknię,  
to go dłonią w zad szeroki huknie  
i wypuszcza. — W pasji Uriasz mruknie  
jakaś kłętwe, wstał i jedzie precz.

Myśl upiorna pędzi go przez pola.  
Miota brudne wyzwicka. Lecz hoła,  
czego szuka wśród panowca krzów,  
na kulbace rozparłszy się tucznie?  
Aj! przystanął... Aj, aj! Straszna włócznia  
ponad głowę sobie wznosił huńczuczenie  
i na Wicka w skok naciera znow.

Tracąc wszelką ratunku nadzieję,  
gdy grot ostry przed nim tuż widnieje,  
poblądł biedny Wincenty jak trup:  
nie by śmierci się bał, jako żywo,  
lecz mu szpetnie na duchu i ckliwo,  
że dał zwiść się i że zeń zdradliwą  
tamten robi szybkością swój łup.

— „Zdrajco, śmiałżebyś?” — wyszemrał ledwie.  
I z męczeńskim poddaniem obiedwie  
zwiesił ręce... Z dała, w kępie drzew.  
dwór kochanki bieleje w zamroczu...  
Tam z najczulszą tkliwością wbił oczy,  
jakby mówił pasterce uroczej:  
— Patrz, Mirejo, dla cię oddam krew!

W tej wyrocznej chwili dzielne serce  
o najmiłszej marzy, o pasterce...  
— „Zmów modlitwę! — jak drapieżny ptak  
kracze Uriasz; — nie ujdiesz tym razem!”  
I przebija go srogim żelazem  
bez litości. Z głośnym jękiem na ziem  
koszykarczyk obalił się wznak.

Cicho leży. Wzdłuż nóg jego — mrówki  
rozpoczęły już swoje wędrówki.

Zbój tymczasem puścił konia w cwał  
i lubował się w miłym obrazku  
swoich marzeń: — „Przy księżycu blasku,  
dzisiaj w nocy, na skrwawionym piasku,  
biesiadując, wilk się będzie śmiał!”



PRZEZ GĘSTE jak dno sotka gałęzie so-  
snowego zagajnika widzę zakręt drogi  
leśnej. Na tle głębokiego cienia rzu-  
canego przez duże drzewa królujące wzro-  
stem droga jest biała jakby przysypa-  
na popiołem. Jest coś rażącego czy klóca-  
cego się w tym zestawieniu — ciemna zieleń  
i popielata biel. Pachnie żywica spływająca po  
korze sosen przezroczystymi łzami. Ten sam  
zapach wydają cieliste złupione bałki rosną-  
cych świeżo pędów młodej sośniny.

Jest ciepło. Bliski nas świat tonie w pro-  
mieniu słonecznym duszącego gorąca spadającego z  
nieba z każdą godziną rozkwitającego dnia.  
Trzaskadło umiejscowione na samych szczytach  
sosenek pochwyciło doświadczenia melodyj-  
nych ptasich hymnów nieprzetłumaczalnych  
na ludzki język. Od czasu do czasu wionie po  
wierzchołkach i wysuniętych ku górze gałę-  
zom jakiś zblakły powiew letniego wiatru.  
Wówczas między sosenkami odzywa się tajem-  
nicza harfa leśnego szumu.

Leżymy zacinając w dziewczęciu wzdłuż dro-  
gi. Tędy dziś ma przejeżdżać samochód gesta-  
po z więźniami na egzekucje. Niedalekie wy-  
dmy piaskowate stanowią ich ulubione miej-  
sce straceń. A choć przyjeżdżają inną drogą  
i odjeżdżają inną dla ostrożności, jednak moż-  
liwość przejazdu ich wtedy jest duża, bo obcia-  
żony ofiarami samochód z innych piaskowatych  
dojazdów wykopałby się z trudem lub  
nawet w nich utonął.

— Psiakrew, nie ma! — narzeka półgłosem  
„Mizioł”.

— Nic takiego, czekamy — poskrzamiem ie-  
go niecierpliwość.

Nasz wywiad z terenu gestapo dał znać, że  
„w tych dniach coś będzie”. Na skutek tego  
wszystkie prawie miejsca rozstrzelaniwa-  
n zostały obstawione przez odpowiednio uzbrojone  
i pouczone patrole. Będziemy pilnować dziś,  
jutro i pojutrze. Aż nam dadzą znać, żeby  
zejść ze stanowiska, albo jeśli gestapo na-  
dzieje się na nas.

Przed nosem na obumarłym igliwju sosno-  
wym rozpostarłem swoją brudną chusteczkę  
od nosa, na niej położyłem parabelum. Nie  
lubię piasku w broni. Zgrzyta drażniąc i trze-  
szczy — pomijając już sprawę funkcjonowa-  
nia zamku.

Inni poszli za moim przykładem. „Mizioł” na  
rzuconej wiatrówce ułożył nabożnie stena —  
leży przed nim jak długa ciemna ryba. „Wiatr”  
w czapce przed piersiami ułożył oba ga-  
mony — wyglądają jak jabłka zerwane w o-  
grodzie na nielegalnym wypadzie.

Rozbiliśmy się na trzy grupy. Nasza środ-  
kowa atakuje pierwszą. Lewa trójka i prawa  
ubezpieczają, w razie gdyby samochód chciał  
ucieć po nieudalnym pierwszym ataku do przo-  
du lub wycofać się do tyłu.

Jest to eskapada z gatunku tak zwanych śre-  
dno szaleńczych. Bliskość miasteczka, bliskość  
załogi wojskowej, bliskość żandarmerii, poli-  
cji i sponderu jest groźna, ale to właś-  
nie nadaje naszemu przedsięwzięciu pewne  
szanse powodzenia.

— O! chyba usnę... — narzeka „Wiatr”.

— Spróbuj, bracie — grozi mu żartobliwie.

Odwroty nasz kryty jest rzadkimi zagajnika-  
mi i podroszonymi już sporo żywymi. Przy pochy-  
leniu można się w nim zupełnie dobrze skryć.  
O to możemy być zupełnie spokojni.

— Tylko czy tedy pojada? — oto jest py-  
tanie.

W spokojnym czasie przygotowania można  
było planować, przewidywać, mierzyć. Jeżeli  
będzie tak, to zrobi się to, a jeśli będzie to,  
to trzeba zrobić tak. Łatwa napozór wieść lo-  
giczna między skutkiem i przyczyną daje pro-  
sty łańcuch zdarzeń jak odwijająca się nić z  
kłębka.

Najpierw będzie samochód.

Potem alarm obserwatora.

Potem nadjeżdżanie.

Pierwsza trójka przepuszcza.

Druga atakuje...

Najpierw będą gamony.

Drugie będą steny.

Parabele stanowią cokolwiek przestarzały

rekwizyt wypełniający lukę — „aby tylko by-  
ło do ręki co wziąć”.

Czuje w sobie całym rozleniwienie i senność:  
rozlewają się po ciele osłabiająca fala, prze-  
nikająca każdy fibr mięśni i skóry. Słyszmy  
całą noc zroszonymi rowami i po miękkich  
drózkach polnych. Nasze ubrania są mokre i  
schła. Skóra na kolanach ciśnie o ziemię  
zmoczona nogawki lekko szczypię: z chłodu,  
z wilgoci. Teraz by się spało!

Niepewność zadania, brak bezpośredniego  
zagrożenia i rozpatrzanie w szczegółach ota-  
czającego nas świata — nastrój mój cokol-  
wiek beztrudno. Ostrość spostrzegania zma-  
lała. Naprawdę uwagi zeznało. Dwie godziny ta-  
kiego lenienia na ziemi swoje znaczą.

Patrzę przed siebie, obserwuję cel — za-  
ciemnioną drogę, ale jednocześnie myśl mi co-  
raz częściej ucieka na łatwe niezasobno-  
wano, rozprężenię, rozproszenia na skom-  
plikowaną wielość zdarzeń z różnych pozio-  
mów i czasów, o różnych barwach i smaku.  
Ale wszystko wokół mnie. Ja staję się cen-  
trum kół i w obrębie mojego dotychczasowe-  
go życia zamkają się promienie całego le-  
gionu zdarzeń drobnych, dużych, — dawnych,  
świeżych. Ich obraz jest pełny, ale oderwany  
od tła, jak gałąź pływająca po wierzchu wzbu-  
rzonej rzeki. Przedmioty obce sobie, niby da-  
leko głęboka struna ukrytego nur-  
tu zależności.

Oto co:

Moja metryka — urodzony siedemnastego  
października 1912 roku we wsi Stachowo Ni-  
skie — z ojca Tomasza i matki Agnieszki z  
domu Bakowskiej — Zygmunta Tobiasz... Ale co  
tu ma nazwisko? — A jednak ma. Wiek tak  
ona brzmi (metryka urodzenia): Zygmunta To-  
biasz, syn Tomasza i Agnieszki z domu Ba-  
kowska urodzony dnia siedemnastego paździ-  
ernika 1912 roku we wsi Stachowo Niskie, po-  
wiatu...

I znów to Stachowo — droga idzie (nie, kła-  
dzie się) po wygiętych polach i kończy się

Teodor Goździkiewicz

## RUMIENIEC HISTORII

(z przygotowanego do druku zbioru opowiadań  
wojennych p.t. „Znaki czasu”)

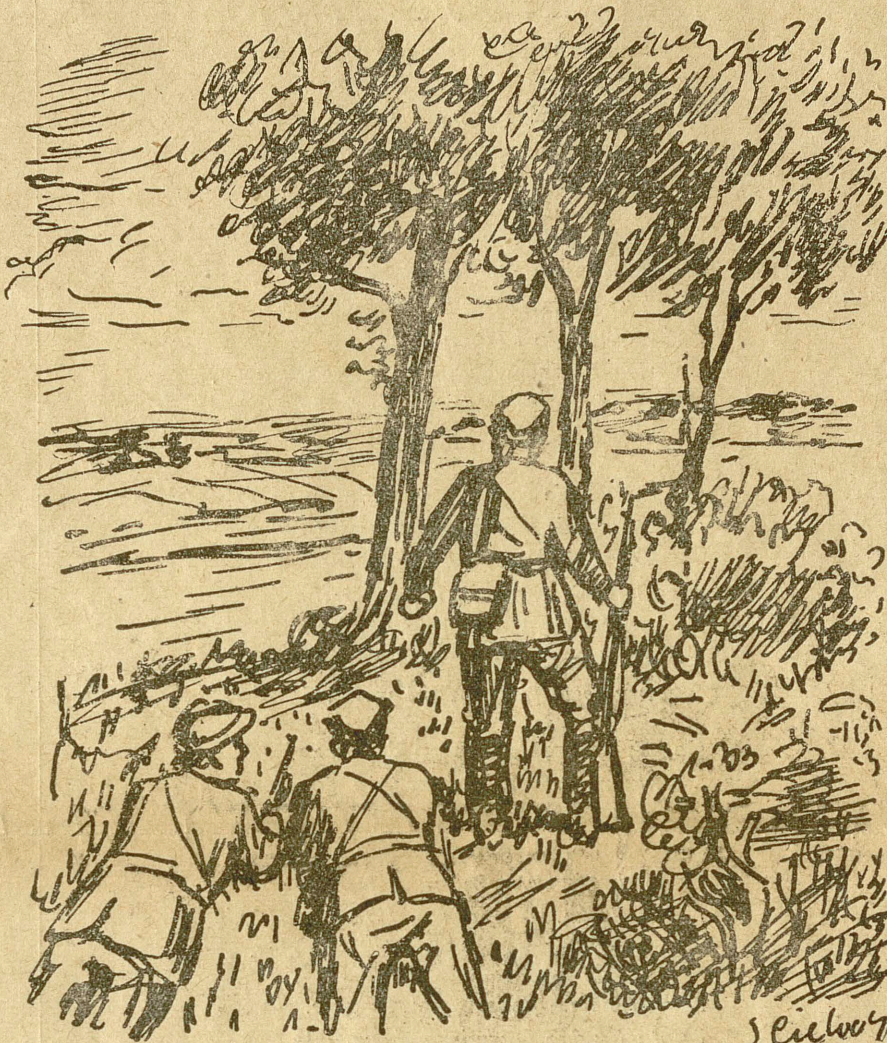
miskowatym stawem mającym zawsze rudą,  
zbytłą wodę. A dokola niej ustawiony był  
jak, niby dla żartu tłum chłopskich chałup.  
Cielu w brudną powierzchnię wody pojedyn-  
cze oka szczytowych okien wypełnionych  
czerwonymi plastrami kwiatowych pelargonii.  
Tak budowali osady za czasów Ziemiowita:  
bezludny zbiór chałup wokół niewielkiego je-  
ziorka. Postępowały niżej i niżej jak ubywało  
wody, a przybywało ziemi.

To znów ranek — słońce wspięło się led-  
wie nad ziemię. Jest czerwone, okrągłe i duże  
i zupełnie nie grzeje. Nad światem tła się nie  
wyschnięte jeszcze po nocy opary mgiełne.  
Oczy pieką z niewyspania, ciało jest mde i nie-  
posłuszne. Spekane od rudawek łakowych no-  
gi szczypią i boją. Oddechy krowie zamienia-  
ją się u pyska w siwe ruchome wiechy.

niowych. Tylko zamiast palki mamy automa-  
ty i wybuchające z piorunującą szybkością  
bomby.

— Nic z tego dzisiaj nie będzie — ilustruje  
przypadkowo mój nastrój „Wiatr” — te skur-  
wysyny nie przyjadą... Ja mam już takie psie  
szczęście...

„Wiatr” może kłąć. Pokłócił się z bratem o  
majątek i pobł. Brat był mściwy. Udał się do  
żandarmerii i oskarżył swojego rodzinnego, że  
„po nocach kasz łazi”. „Wiatr” miał się na  
baczności i to go ocaliło przed rękami gestapo.  
Żandarmerii nie zastali go w domu. W oddziale  
stał kłak: „i tak tego cholere zabije i tak za-  
bije” — odgrażał się mocno. Był spokojny, zde-  
cydowany i najlepiej rzucał gamony. Jego cel-  
ność weszła u nas jak gdyby w przysłówie —  
rzuca jak „Wiatr”.



Matka wychodzi z obory, wyciera o próg  
pobrudzoną w krowim nawozie nogę i mówi:  
— Tam je Zygmunta przysłał, niech trochę  
pojedzą koło południa po brzegach łaki...

Jestem senny, zły, opryskliwy: te krowy  
i krowy.

— Tak, akurat, jeszcze co... — uważam zle-  
cenie matki za chęć nieprawidłowego honoro-  
wania krów i przeciwstawiam się zdecydowa-  
nie teraz, żeby jednak przed południem, kiedy  
senność pierzchała przez nogi się rozbiegała,  
spędzić krowy na brzegi pastwiska, gdzie ge-  
sta szczerka bałej drobnej koniczyny jadła im  
się chętniej i sprzej.

Albo moja matura — rząd pionowy nauk,  
„wymuszonych mądrości”, jak mówiliśmy,  
i tuż zaraz na prawo mój do nich stosunek wi-  
dziany oczyma moich nauczycieli. Tak, to pra-  
wda, ludzie muszą ważyć, mierzyć, szufladko-  
wać. Bez tego ani rusz. Więc nauki matema-  
tyczne — dostatecznie (zaledwie). Nauki hu-  
manistyczne — bardzo dobre (aż!). Na co to  
się myśl kus? O co zabiega? Przy czym się  
trudzi? Czego chce?

Człowiek... człowiek... oto co.

Teraz dyplom magisterski — moja praca z  
historii (o, ukochany przedmiocie!) była przy-  
jęta, była drukowana, narobiła niejakej wrza-  
wy. „Rumieniec historii” — to jej tytuł. Pod-  
chwycenie tematów od strony najmniej spo-  
dziewanej, błyskotliwość formy, śmiałość ar-  
gumentowania... — no to wszystko, co się skła-  
da na dobrą, magisterską pracę. Objąłem w niej  
dzieje ludzkości od czasów Hammurabiego do  
czasów wojny japońsko-chińskiej. Przez Da-  
rusza, przez Cezara, przez Karola Wielkiego,  
przez kulturkampfa doszedłem do Japonii i wy-  
kazałem „czarno na białym”, że miejsca try-  
umfów w historii są właśnie powodem do jej  
rumienienia wstydu.

Więc myśl badawcza — i podboje.

Filozofia — i kosmary...

Wzniosłość — i ucisk...

Historia powinna się rumienić.

Więc ten dyplom magistra filozofii i to oto-  
czenie.

Kultura — i partyzantka.

Intelektualizm, Epikur — i „Mizioł”... Leży-  
my w dziewczęciu wzdłuż drogi z bronią przy-  
gotowaną — zasadzka. Jak za czasów jaski-

„towa” zabrali. Złapali żandarmi — to samo.  
Złapali „granatowiki”: trzeba było wypić, trze-  
ba było stracić, trzeba było dać coś w łapę.  
A to słowny, a to „rabanki”, a to „forsy”.  
Różnie było. Wiadomo — nie wolno. Ale ja-  
koś można było wytrzymać. Można było wy-  
żyć. Na drugi raz człowiekowi się udało i „od-  
biło” się za wszystkie straty.

A tu kiedyś mówią: będą kolczyki. No —  
przepadło wszystko. Teraz choć żeby łam.  
Każda świnka będzie miała numer i będzie za-  
pisana. Ani mru-mru, nie nie zrobisz. Nie ma  
mowy, żebyś co kupił. Nie ma mowy, żeby ci  
kto co sprzedał. Jaktó: wszystko opisane, za-  
pisane, pewne. No i kara śmierci za ubój. Wy-  
rażnie, było ogłoszenie na murach, na ścia-  
nach, soltysi przywieźli.

Ale nasz człowiek to nie taki łatwy. Nie tak  
prosto dasz mu radę. To tak jak woda w gar-  
ści. Im mocniej ściszasz, tym prędzej ci wy-  
cieknie między palcami. Tak, proszę pana. Po  
miesiącu, po dwóch: a to jednemu złodzieje  
oderwali kłódkę i „ukradli”, a to drugiemu  
„zdechła”, a to trzeciemu „nie rosła”. Tak,  
nie rosła. Zakolczykowali, zapisali numer, wa-  
ka 42 kg. I po roku ta sama świnka ma 42, al-  
bo najwyżej 45, a nieraz to „choruje” i ma  
37 kg. — spada. No nie rośnie... Diabli wiedzą  
czemu, ale „nie rośnie”...

A proszę pana chłop przez ten czas sprze-  
dał już cztery świnki... Bo jak mu podrosła na  
100 kg., to zabił, a kolczyki przełożył innej  
mniejszej.

Więc jak mnie wtedy złapali, to dostałem,  
świnkę zabrali, rower zabrali i zamkli w obo-  
zie. Ale ja wiedziałem, co mnie czeka. Pod-  
łem się za kogo innego i jak z beczką po wo-  
dę z policjantem wychodził, żeby przywieźć  
z miasta, to wyszedłem, a potem na miastecz-  
cie uciekłem. To chodźli do mnie i chodźli, żonę  
zamkli — powiedzieli: jak maś się zgłosi to  
cię wypuścimy. Ale ja nie głupi i żona nie głu-  
pia. Pół roku siedział i dopiero ją zwolnił.  
To ja sobie myślę: wy cholery, nie dosyć, że  
tu do nas przyszliście...

Tu, w tym miejscu opowiadania „Mizioł”  
uzasadnia swoją ideową stronę przystania do  
partyzantki, mnie zaś przychodziło do głowy,  
że nic dziwnego, iż takie sądy kiepskie o nas  
wygłaszali Niemcy, bo jeśli taki kontroler  
świń zameldował kolczykarzowi, a kolczykarz  
referentowi, ten zaś radcy, a radca ministro-  
wi, że tak wolno świnkę rosną w Polsce, to  
taki minister przy najbliższym przemówieniu  
publicznym wygłosił: „smutnym, ale jaskra-  
wym dowodem niskiego niewiarogodnie pozio-  
mu hodowli polskiego rolnika w Gen. — Gub.  
jest fakt, że świnka po roku karmienia i życia  
ma zaledwie około 40 kg. żywej wagi...”

I jeszcze co innego przychodzi mi na myśl.

Typy idealistów, pięknołuchów, intelektual-  
istów (jak ja) dzięki warunkom bytowania  
stworzonym przez tę wojnę, typy chodzące  
samymi szczytami ludzkiej myśli musiały się  
przeistoczyć w jaskiniowców, żeby przetrwać,  
obniżyć swój lot — żeby przeżyć. Typy zaś  
prymitywne wodzące żywot prosty awansowa-  
ły niepomierne wysoko. Urosły do poziomu  
obrońców ojczyzny. Przykład: ja i przykład  
drugi: „Mizioł”.

Oto są prawdziwe znaki czasu tej wojny, w  
którym żyliśmy i w którym żyjemy.

Gorąco się zwiekła. W gąszczu robi się du-  
szno. Rośnie również nasza niecierpliwość.

— Zdać mi się, że to nic z tego... — pół-  
głosem myśli „Mizioł”.

— To samo myślę — dodaje skwapliwie

„Wiatr”.

Wyczuwam w jego tonie jakby skrytą ra-  
dost, jakby słowami chciał zasugerować zbieg  
okoliczności na swoją korzyść. Może istotnie  
nie będzie nic z tego, tak jak on pragnie. Ale  
cóż: połowa zadania zależy od szczęśliwego  
przypadku, a druga dopiero od nas.

Przywołał mnie tym do porządku i z braku  
jakiegokolwiek zajęcia skłonny jestem wszyst-  
kie instrukcje bojowe powtórzyć jeszcze raz,  
ale nawiedza mnie myśl krytyczna, że wobec  
konieczności bliskiego już może działania jest  
to bezsens. W sam czas więc „grzęzę się w je-  
zyk”, milknę i odlatuję myślą do tamtych naj-  
osobistszych wrażeń.

Łapię więc — co? — te obrazy silnie w mo-  
ją świadomość wpieczę, mające swoje stałe  
miejscie i jaskrawą oprawę emocjonalną. One  
jakgdyby konkretnie przemówiły do mojej du-  
szy, przemówiły ostatecznie i pochwyciły mnie  
do ścisłego działania. Odwijam je z „taśmy  
pamięci” i rejestruję jeszcze raz, robię prze-  
gląd:

— Pierwszy obraz. —

Pogodny dzień wrześniowy wypełnia kłoz  
widzialnego świata obiektywnym złotem.  
Drzewa zastępy w zapyłonym nieruchomym  
powietrzu. Piekący niepokój zażegnany wie-  
ścią o wojnie uścisła myśl duszną i ciężką: jak  
to będzie? co to będzie? kiedy będzie? Nie-  
pokój i ciekawość zlane w jedno trudne do  
określenia uczucie — obawa i zainteresowa-  
nie.

Ale oto w te cisze zapelnioną pogodą wpina  
się daleki, ostry brzek pracującego słońka.  
Podniecone oczy myszczą po gładkim błęki-  
cie raz, drugi, trzeci... Sa!!! Lecą samoloty!!  
Równe, rozpostarte punkty. Rosną w oczach  
i rośnie ich brzęk. Jeszcze można liczyć: pięć,  
dziesięć, dwadzieścia, czterdzieści!...

Jednak w następnej chwili już nie. Ryk mo-  
torów wypycha do ziemi, wciera się w uszy  
bolesnym skowytom. Zsuwają się ku ziemi ko-  
lejną schodą, widać błyskające czarne krzyże  
na białym tle, a potem... — prawdziwe pia-  
kło zstępuje na ziemię... Łomot zrzuconych  
bomb, strugi ognia, dymu i ziemi, gwizd od-  
łamków i jęk miazdzą duszę, wrażliwość i  
miasteczko razem z domem... Trzynaście wiel-  
kich salw po trzy maszyny za każdym razem:  
nisko, bezpiecznie, pewnie.



Podnoszę się osypany ziemią, przerażony, oczadziły od dymu i półmartwy ze strachu. Ostre brzości odlatujących maszyn tonieją w dali, dymy się unoszą rudoczerwą chmurą, różowe promienie pożarów pną się na ruinach. I wówczas — kiedy działanie strachu osłabło — przychodzi mi do głowy śmieszna myśl — bezsilny zamiar pogrożenia niedosięgłym najeźdźcom pięścią... Myśl: co z tego będzie? co wyniknie?

Obraz drugi. — Rozprężoną od gorąca szosą, w dymach lepkiego kurzu, jak zastygł w nieruchomym powietrzu gęsta fala, ciągnie prawdziwą powódź ludzką. Jest to obraz pełen grozy. Idą piesi, ciągną wozy, samochody, jada rowery, wózki, wózki dziecięce — jako pojazdy bagażowe. Ludzie, krowy, psy, konie... Istna wędrowna ludność! Wszystko to zmierzcha na wschód... W oczach zakrzepła groza, w ustach siedzi przagnienie, zmęczone nogi ustają — i pęd, pęd!... Unosi się nad tym atmosferą strachu, nędzy i opuszczenia. Wiedzę jakąś nierozumny obłęd przestrzeni. Uciekać — uciekać! Słowa są urwane, gorączkowe, nieprzytomne, kiedy pada pytanie o drogę, o Niemców, o chleb czy moleg.

Droga czyni się strumieniem piekła. Przed nią jakiś nieuzmysłowiony w definicji demon o skomplikowanych cechach: strach, przestrzeń?... Czy jedno i drugie razem spłete w nierozrwalną ludzką pojęciem jedność?...

Na zboczach rowów, na buntach porośniętych zdeptaną trawą, na ścieżkach zjeżdżonych setkami kół tkwią nieruchome, wylugowane z sił osobniki, oparzelcy, sercowi, starzy i wszystka nędza słabości, która tu na tym szlaku ucieczki wyszła na jaw, ukazała swój potworny przymiot — beznadzieję i bezsilność.

I znów skądś: zza drzew boru, z widnokreśła (prawie zdaje się) jak deus ex machina wylatuje trójką czarnych samolotów. Polatują nisko, niejako z lekkim płasem. Raz jedno skrzydło wyżej, raz drugie skrzydło wyżej. W oszalały ze strachu tłum rozprzeczniły na pola i rowy sypią się serie lekkich bomb, bryzgają ziemią, kołtunia się tuman dymu, szczekają salwy maszynowych karabinów — krótko urywanie, jadowicie.

Patrzę z twarzą ku ziemi. Wdycham pył sprzed siebie, tykam krótkie, głębokie hausty powietrza. Patrzę i chwytam uchem gdzieś z boku dolatujący przejmujący wrzask kobiety: — Tadzio, kochany, Tadzio!...

I znów przerwa, i znów krzyk-płacz, ryk-ból!

— Tadzio mój kochany, Tadzio!... Podnoszę się wpół, spoglądam. Z rąk kobiety — matki zwiśa martwe ciało dziecka. Zastrzelone na jej rękę. Odsłoniła się perkalikowa sukienka jakimś beznadziejnym, niespokojnym sfaldowaniem brzegów.

Patrzę na malejące w białej dani samoloty pobakujące falisto i znów odczuwam ową impulsywną, beznadziejną zaciśnięcie pięści.

Obraz trzeci. — Głęboka skrzynia naladowana pod wierzch burakami cukrowymi jedzie powoli szosą ciągniętą przez parę wojennych o kłopskiej kondukcji walców. Wóz obciążony ponad piętnaście kwintali ciężarów, rzędogozi pracownicy i zgrzyta na wybitych kołach nierównościach. Rzędogozi obciążeni o kamienie i zgrzyta tracą się mozolnie rozwora.

Na wierzchu na wiążące słomy związanej w ochronny kłaczek siedzi stary chłop. Siwe włosy nakrył przedwczesnym wyrudziałym i wysłużonym na jesieniowych płutach i letnich żniwnych gorących kapeluszem. Na leniwy upór w posuwaniu się do celu koni trzymał w prawicy wyprostowany ku górze jak piorunochroń — bat.

Za nim sunie lekka wojenna limuzyna. Niesie na sobie patynę dalekiej drogi. Może Dortmund — może Frankfurt nad Menem. Zda się być przyrosniętą do szosy. Zdradza ją tylko ten ruch do przodu. Ma w sobie niejako by pewien wdzięk — opływowe linie nadają jej coś z kształtu zuka.

Pada długi, ostry sygnał: wojna droga! Ale przecież te wojenne walczyki... Przecież ta ciężka krypa z burakami... Zanim usłuchały obulzowanych lejców, padł sygnał drugi. Zanim skreśliły na bok, samochód dojechał. Dojechał i stanął. Otworzył się drzwiczki.

— Ha! Ha! Głos jest tak wściekły i mocny, że obchudzone walczyki stanęły w miejscu jak wryte. Były karne czy zmęczone, czy zrozumiały niemiecki wykrzyknik.

Z niskiej ramy drzwiczek wysiada razadwa postać w wymięsionej przedem czarce oficerskiej. Ten sam głos donośny, władczy rzuca polecenia, kłynie, wymyśla; a ręka nakazuje zejść ze skrzyni na ziemię. O, to się rozumie, ten język gestów jest przez wszystkich zrozumiały.

Na ziemi przy skrzyni na tle gniadego zadu walczyki błyskają spod zdjętego kapelusza śnieżne gołębkie włosy starca. Bieleją w szarym dnu listopadowym jakimś kolorytem wstydu i bojaźni. Drży kapelusz w starczych rękach. Usta chcą coś tłumaczyć, dłonie wskazują na konie, na skrzynię...

Wszystko na nic. Prawa ręka z pejcem unosi się ku górze — coś się sypia na te włosy, na twarz. Raz... dziesiąty... dwudziesty. Wulanie z palców bat, dłonie starca opłatają głowę. Ciało kuli się, mięknie i zwija przy kołach skrzyni, obok stępiatych, wojennych, wychudzonych koni.

Potem samochód odjeżdża. Potem widzę czerwone pęgi krwawych śladów na pasmach siwych włosów.

Potem zaciskam pięści...

Obraz czwarty. — Ojciec dostał nakaz odstąpienia na kontyngent młodej jałówki. Szuka jest wypasiona, narowista i diabło żywotna. Iść na powróżku za człowiekiem uważa sobie za ogromną ujmę dla swojego honoru młodej krowy. Jeśli

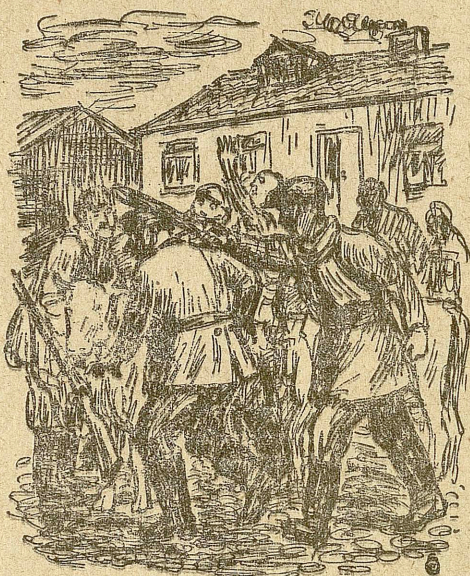
wyjdzie przed nią, zapiera się wszystkimi czterema nogami o ziemię i można jej łeb urwać — nie chce iść. Jeśli ojciec próbował posuwać się za nią, wygniała łeb w bok i pisała w kółko opętaniczy taniec.

Z braku kogoś innego przypadła mi rola poganiacza tej niesfornej jałówki. Rad nie rad zrzuciłem pychę z serca i okularów z oczu, ubrałem się stosownie do tej funkcji, podrosłem swoimi magisterskimi dłońmi z ziemi wysłużony dębowy szczebel z drabiny i mam przez całą drogę przekonywałem jałowicę w okolicy ogona, że należy być karnym w niemieckim państwie bojaźni bożej.

Doszliśmy do miasta. Od urzędu do urzędu, od kontroli do kontroli, jałowka znalazła się na rampie kolejowej. Tu tłok jej przygodnych, na ten sam los skazanych towarzyszek do cna przewrócił jałowicę w głowie, choć miała poza sobą kilka kilometrów. Ludzie też byli jak jałowka. Kandydatka na niemiecką konserwę zaczęła brykać, wierząc i potraciła wy-czyszczony but konwojenta, który pilnował porządku przy wejściu do wagonu.

Ten z oburzenia ryknął jak ranny tur, zerwał karabin z pleców i uderzył kółką w bok bledego śmiertelnika ze strachu ojca.

Odruchowo, bez chwili namysłu, podniosłem swój dębowy wysłużony szczebel i przez łeb!



Niemiec pisknął i upadł. Między ludźmi powstał wrzask. Popuszczali krowy i w nogi. Ojciec rzucił nieszczęsną jałowicę i zaczął uciekać. Ja dałem mura między krowy, potem między konie i wozy, stąd w miasto, a z miasta — na wieś...

Zgnałem. „Mizioł” poruszył się jakoś znamienne, coś mrknął i otworzył oczy.

Czym spał? Nie wiem, ale chyba nie. Czy to trwało długo czy krótko? Przeżyłem najważniejsze etapy swojego życia może w jednym szybkim drgnięciu pamięci?

Jakby nigdy nie — takim chce być, taką chce mieć minę. Nie mogę nawet dać poznać po sobie, że mam apetyt na zadrzemanie. Wszystko, tylko nie to.

Patrzę w bielejącą drogę przesianą przez tyśiączne oczka skrzyżowanych drobnych galezi sosny i szpilek. Przez moment — niewymierne krótki moment zestawiam w myśli tego dawnego chłopczyka w cągowych, o kuszych nogawkach portezkach, tego magistra w białych, autora „Rumieńców historii” z dzisiejszym oficerem partyzanckiego oddziału walczącego za swój kraj z przytłaczającą potęgą i przenika mnie głęboki dreszcz radośnej dumy. Ten skok, ten awans z takiego wczoraj do takiego dzisiaj jakże jest zdumiewający! I przez co?

Jaka to szła droga? — Uwaga, komendancie, uwaga! — szeptem zduszonym głosem „Wiadr”.

Szemrze nerwowymi trochę poruszeniami sucha ścinka. Szczeknela obulzowana cokolwiek kolba uniesionego stena.

Niech dadzą spokój — niech dadzą spokój. Nawet słyszę daleki brzęk motoru jak buczenie trzmiela. Posternek obserwacyjny na umiarkowanie lekko się wychylił ku nam i miga umiarkowany znak ręką, a potem się przeżornie zaszły w krzaki: — jedźcie samochód...

Tak, jedźcie. Opanowywam podpykającą pod gardło ciepłą falę wzruszenia i głosem, który ma być uspokajającym zimnym, rozkazuję: — Uwaga! Gotuj broń!

Patrzę z napięciem tam w ten spokojny zakręt drogi. Buczenie motoru jest wyraźniejsze i zdecydowanie. Słyszymy go teraz wszyscy.

Spreżamy się cały. Wszystkie władze umysłowe i ciała w jedno. Oto stanę się: albo — albo. To samo i tamci z prawa i z lewa: „Wiadr” i „Mizioł”. Jeden nachylił się do przodu i wsparł na rękach ma wygląd zaciężnego psa czy wilka. Zupelny czworonóg.

Czuje, jak gdyby przepływała przez mnie wielość światła, wielość barw, wielość dźwięków — jednocześnie — niemniej jednak wśród nich chwytam świadomością wyraźnie, ostro pewne drobne szczegóły z otoczenia. Oto tam zza zakrętu wychylił się samochód — okiem widzę błysk odbitego w wypukłości lewego błotnika promienia słońca.

Jest gorąco. Pachnie żywica pedzających młodych czubków sosen. Czas się rozgrzać cię pod drzewami. Czaimy się i my...

...Najpierw będą gamony...

...potem będą steny...

Gdzieś na wyniosłym wierzchołku choja-

brzmi monotony przyspiew trzadla.

Teodor Goździkiewicz

Stanisław Cieślak

## Warunki uprzemysłowienia (III) \*

Tak jak wyniki reform społecznych nie zostały jeszcze dostatecznie wyzyskane, jeszcze z tych reform społecznych wszystkich owoców nie zbiera z powodu spekulacji, a powinna zbierać warstwa chłopska i klasa robotnicza, tak samo i nasze dotychczasowe możliwości nie zostały jeszcze wykorzystane. Mamy spółdzielczość Związku Samopomocy Chłopskiej, spółdzielczość, z której jesteśmy dumni, której nikomu nie oddamy i oddać nie możemy, ale zapytać się należy, czy ta spółdzielczość nasza jest w całości spółdzielczością chłopską? Czy ta spółdzielczość nasza służy drobnym gospodarstwom chłopskim? Czy pewna część naszych spółdzielni nie jest jeszcze domeną jakichś różnych mniej lub więcej brudnych interesów?

W tej chwili przejmujemy Izby Rolnicze i tu znów nie wystarczy samo otrąbienie zwycięstwa. Trzeba wyciągnąć z tego zwycięstwa korzyści i korzyści te przekazać warstwie chłopskiej. W tej pracy, tak jak i na odcinku spółdzielczym, nikt nas nie wyręczy. Jeśli my — działalnicy Izby Rolniczych nie uzgodnimy, nie zwiążemy tych Izb z interesem gospodarstw chłopskich, w takim razie wyrzadzimy krzywdę nie tylko własnej organizacji, ale i całemu rolnictwu i każdemu chłopu.

Rozpoczynamy wielką akcję, która tak, jak i poprzednie, musi zakończyć się naszym zwycięstwem, rozpoczynamy walkę o wyłączność zawodową. Na terenie rolnictwa powinna istnieć jedna tylko organizacja zawodowa — Związek Samopomocy Chłopskiej. Nie można dopuścić do tego, aby rolnictwo było reprezentowane przez 50 samodzielnych organizacji rolniczych, zwalczających się wzajemnie, będących domeną różnych partii, różnych ugrupowań, wyrwujących sobie wzajemnie ludzi i w rezultacie ustawiających się w ogonku do kasy państwowej po subwencje na utrzymanie swego aparatu i sztabów centralnych. W Polsce powinna być jedna organizacja zawodowa chłopska — Związek Samopomocy Chłopskiej, ale musi to być organizacja, która w swoim planie pracy uwzględni wszystkie interesy i zharmonizuje potrzeby każdej gałęzi uprawy i hodowli i wszystkie zainteresowania chłopów.

Czas na rozpoczęcie walki i rzucenie rękawic na stół. Tam, gdzie mamy do czynienia z rzetelną pracą, wychodzącą z terenu, tam, gdzie mamy do czynienia z pewną nieraz uzasadnioną obawą starych organizacji, zasłużonych, dobrze prosperujących, powiązanych z interesami chłopskimi, tam okażemy czułą i delikatną rękę przyjaciela, który chce pomóc. Jeżeli przychodzą nowi działacze, przychodzi nowa organizacja i żąda przejęcia dorobku organizacji, którą zbudowali sami chłopci, to nie dziwny się, że spotkamy się z początkową nieufnością, którą tylko przez rzetelną pomoc rozwiązać można. Tam więc, gdzie organizacja powstała z potrzeby reprezentacji interesów chłopskich, a nie ze względów spekulacyjnych, tam, gdzie mamy do czynienia z dorobkiem społecznym, z właściwym nastawieniem, — zachowamy delikatną rękę i cierpliwość. Tam jednak, gdzie widzimy żerowanie, gdzie widzimy oderwanie się od mas, gdzie widzimy działanie na szkodę terenu czy danej branży, to nie będziemy się bać uderzyć mocno. W stosunku na przykład do plantatorów buraka cukrowego, którzy z nami ściśle współpracują, właśnie okazujemy tę delikatną rękę, nie widząc w tej chwili potrzeby domagania się, aby ten związek nie posiadał osobowości prawnej, natomiast na odcinku plantatorów tytoniu — uderzyliśmy mocno pięścią w stół i doprowadziliśmy do likwidacji tego związku, albowiem jest on oparty na elementach spekulacyjnych, oderwany od terenu i nie reprezentuje interesów plantatorów.

Przyszłość rozwoju rolnictwa

Jak sobie wyobrażamy rozwój gospodarczy w rolnictwie w dalszym etapie? Spożyte artykułów produkcji roślinnej na głowę ludności chcielibyśmy widzieć w wysokości około 120 proc. stanu przedwojennego. Spożyte artykułów produkcji zwierzęcej w kraju chcielibyśmy widzieć po trzech latach w wysokości 60 proc. stanu przedwojennego. Produkcję roślin przemysłowych chcemy wzmożyć w przeciągu trzech lat co najmniej o 50 proc. w stosunku do procentowego udziału tych roślin w naszym areale użytków rolnych przed wojną. Produkcję owoców i warzyw pragniemy powiększyć co najmniej o 85 proc. w stosunku do stanu przedwojennego.

Być może, że produkcja ta da się podnieść dwukrotnie. Hodowlę nierogacizny, przyjmując ją jako podstawę obliczenia ilości świń, przypadających na liczbę ludności, chcielibyśmy widzieć podniesioną o 100 proc. w stosunku do produkcji przedwojennej. W hodowli owiec chcielibyśmy widzieć tę liczbę w wysokości 50 proc. większej, niż przed wojną. W hodowli drobiu chcielibyśmy produkcję wyciągnąć jak najwyżej, jak tylko się da, być może, że granica 500 proc. jest cyfrą osiągalną, w każdym razie tutaj żadnych ograniczeń nie stawiamy.

Jeśli porównamy sobie te dwie tezy, które przewidują spożycie zaledwie 120 proc. w zakresie roślin i 60 proc. w zakresie mięsa, to rzecz jasna, że proponowana zwyczajka upraw i hodowli nie będzie skonsu-

mowana w całości w kraju. Duża część, dochodząca przy roślinach przemysłowych do 30 proc., a przy drobiu — do 400 proc. powinna być wyrażona w formie udoskonalonego eksportu nazewnątr. Dzięki temu eksportowi rolniczym, z którym będziemy częściowo gotowi już w r. 1949, możemy rozpocząć już eksport w zakresie jaj i przetworów owocowych w roku przyszłym, — okażemy pomoc przemysłowi, zapłacimy za jego modernizację i rozbudowę. Ten eksport rolniczy pozwoli na sprowadzenie maszyn i urządzeń przemysłowych, pozwoli na sprowadzenie surowców, niezbędnych dla przemysłu i pozwoli także na sprowadzenie pewnych środków inwestycyjnych, zwłaszcza zarodowego bydła, potrzebnych dla rolnictwa. W tej chwili palimy świecę z dwóch stron: sprowadzamy i zboże i naftę, konserwy i maszyny i bydo zarodowe, ale przecież wszyscy rozumieją dobrze, iż na dłuższą metę nie może się utrzymać żadne państwo, które sprowadza i artykuły żywnościowe i surowce przemysłowe, maszyny i półfabrykaty.

Zdrowy rozsadek dyktuje, żebyśmy nie nastawiali naszego eksportu w sposób jednostronny, żebyśmy nie próbowali uczynić z eksportu polskiego eksportu tylko rolniczy. Nie byłoby to pożądane. Nie dałoby to dostatecznego bodźca naszemu przemysłowi, który chcemy widzieć jak najsilniejszym. Gdyby jednak nasz eksport miał być również eksportem przemysłowym, — również nie byłoby to zdrowe dla naszego gospodarstwa narodowego, gdyż cena uzyskana za nasze surowce i artykuły przemysłowe zagranicą, nie będzie do czasu modernizacji przemysłu ceną atrakcyjną dla naszego gospodarstwa narodowego.

Umiejętne ustawienie tych dwóch elementów — eksportu rolniczego i przemysłowego i pamiętanie o tym, że rolnictwo polskie może na sobie dźwigać poważny ciężar inwestycji przemysłowych przez to, że rzuci pewne ilości na eksport, — jest rzeczą słuszną i konieczną.

Ustalając program działania liczyć się musimy z oporami. Są bowiem w państwie naszym siły reakcyjne, wrogi demokracji, dla których solą w oku jest żywiołowy wzrost zawodowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy Chłopskiej.

W odróżnieniu od tych sił opozycyjnych i reakcyjnych, które pragną zatrzymać proces wyzwolenia mas chłopskich, które wiedzą czego nie chcą, a nie umieją, albo wstydzą się powiedzieć czego chcą, — Związek Samopomocy Chłopskiej, organizacja radykalnej, postępowej wsi — wie czego chce.

Chee polityki gospodarczej, która stworzy realne warunki dla dalszej przebudowy życia społecznego, organizacyjnego i gospodarczego wsi w duchu Manifestu Lipcowego P. K. W. N.

### EKSPORT ROLNICZY CZY PRZEMYSŁOWY?

Adam Polańczyk — Najwłaściwiejsi; Stanisław Skoneczny — Wrzesień; Stanisław Cieślak II — Warunki uprzemysłowienia; Jan Bolesław Ożóg — Z września; Tadeusz Różewicz — Dla żołnierza tułacza; Janina Sobieszek (przekł.) — Pod Kutnem; Marian Piechal — Józef Czechowicz poeta pokolenia; Stanisław Pietak — Wspomnienie; Józef Czechowicz — Wiersze; Stanisław Pietak — Maruderzy; Bronisław Marcin — Myśmy się śmiali a Niemcy płakali; Józef Bieniek — Do Józefa Pogana; Klemens Oleksik — Ewakuacja miasteczka; Lesław Bartelski — Osnowy; Adam Bahda — Ballady seklerskie; Jerzy Sikorski — Z niedawnych dni Katowic; Maciej Czula — Pokój i wojna; Zofia Szczesna — Do Polski i miasta; Leonard Sobierajski — „Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy”; 3 ilustracje, ogłoszenia, 12 stron.

Ustalając program działania liczyć się musimy z oporami. Są bowiem w państwie naszym siły reakcyjne, wrogi demokracji, dla których solą w oku jest żywiołowy wzrost zawodowej organizacji chłopskiej — Związku Samopomocy Chłopskiej.

W odróżnieniu od tych sił opozycyjnych i reakcyjnych, które pragną zatrzymać proces wyzwolenia mas chłopskich, które wiedzą czego nie chcą, a nie umieją, albo wstydzą się powiedzieć czego chcą, — Związek Samopomocy Chłopskiej, organizacja radykalnej, postępowej wsi — wie czego chce.

Chee polityki gospodarczej, która stworzy realne warunki dla dalszej przebudowy życia społecznego, organizacyjnego i gospodarczego wsi w duchu Manifestu Lipcowego P. K. W. N.

W OSTATNIM 34 — 35 Nr. „WSI” z dnia 6 — 7 września 1946 r.:

Adam Polańczyk — Najwłaściwiejsi; Stanisław Skoneczny — Wrzesień; Stanisław Cieślak II — Warunki uprzemysłowienia; Jan Bolesław Ożóg — Z września; Tadeusz Różewicz — Dla żołnierza tułacza; Janina Sobieszek (przekł.) — Pod Kutnem; Marian Piechal — Józef Czechowicz poeta pokolenia; Stanisław Pietak — Wspomnienie; Józef Czechowicz — Wiersze; Stanisław Pietak — Maruderzy; Bronisław Marcin — Myśmy się śmiali a Niemcy płakali; Józef Bieniek — Do Józefa Pogana; Klemens Oleksik — Ewakuacja miasteczka; Lesław Bartelski — Osnowy; Adam Bahda — Ballady seklerskie; Jerzy Sikorski — Z niedawnych dni Katowic; Maciej Czula — Pokój i wojna; Zofia Szczesna — Do Polski i miasta; Leonard Sobierajski — „Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy”; 3 ilustracje, ogłoszenia, 12 stron.



Leonard Sobierajski

# Odważamy Bratoszewice

Przy autostradzie Łódź — Warszawa, na 22-gim kilometrze od miasta czarnych dymów, leżała rezydencja hr. Rzewuskich — Bratoszewice. Dawniej zaklęty zakątek, niedostępny oku przechodnia, wyspa izolowana; nie przeniknie tam człowiek, obcy, nie należący do klanu, ciekawość jego rozbiła się o wysoki murek parku, przez wspaniałą zieleni bujnych drzew prześwieca tylko białymi plamami w głębi leżący pałac. Niedostępność, zamkniętość, odciecie całkowite się od środowiska, — arystokratyczna izolacja — oto wrażenie przechodnia. — Dawniej.

Ludzi z zewnątrz co dnia wchłaniał tylko folwark. Tam gdzie się dokonywała praca, dopuszczony był prosty człowiek, tam tylko była powierzchnia zetknięcia pałacu i czworaków, pałacu i sąsiedniej wsi. Kontakt tolerowany — to przyjęta praca, jakże często opłacana nędznie i w opóźnionych terminach. Innych styków między tymi dwoma środowiskami nie było — żadnego przenikania. Świat autochtonów, tubylców — chłopów bratoszewickich i świat Europejczyków — ludzi z pałacu.

Przeszła wojna, wojna, która przyspiesza niejednokrotnie procesy przemian społecznych — w polu widzenia bratoszewickiego człowieka dokonały się odwracające utarty porządek świata zmiany. Bramy pałacu otworzyły się na oścież. W rezydencji zasiedli nowi gospodarze — to Państwowy Instytut Praktyk Rolniczych i Państwowe Liceum Handlowe.

Czym są te dwie instytucje w ogóle i czym są dla bratoszewickiej okolicy.

## OŚRODEK „DOBREJ RADY”

Przez Bratoszewice przetacza się front, mający siłą rzeczy ulegać dewastacji. Po ukończonej wojnie przejmie go Państwo. Częścią ziemi zostają nadzieleni bezrolni i małorolni gospodarze oraz robotnicy folwarczni. Pozostaje resztówka — około 400 ha. Ta resztówka ma się stać warsztatem pracy dla Instytutu. Cóż on robi i co ma robić? Wsuwa się tu na początek prace dorywcze, prace mające na celu uruchomienie samego gospodarstwa. Brak tu jednak wszędzie inwentarza, narzędzi, ściany pałacu świecą pustkami, normalne skutki dzikiej, bezpardonowej wojny. Stan prawie jak po pogorze. Trzeba wszystko stawić od początku. I właśnie cały wysiłek ludzi stojących na czele ośrodka idzie w tym kierunku. Zagospodarować się na razie. Obsiać, obsiać za wszelką cenę, napędzić obory, ożywić stajnie — to zostało zrobione, maszynę puszczono w ruch, stworzono warunki dla dalszej racjonalnej gospodarki. Jak ma właśnie wyglądać ta racjonalna gospodarka? Instytut jest nastawiony na hodowlę, to wyznacza nową strukturę, nowy porządek pracy dla ośrodka. Będzie się tu hodowało rasowe bydło, konie, trzodę chlewną i drób. W związku z tym trzeba będzie odpowiednio wykorzystać i ziemię — produkcja rolna będzie więc przedstawiona na uprawę roślin pastewnych. Co zyskuje okolica bliższa i dalsza? Może otrzymać w niedalekiej przyszłości bydło rasowe czy kury, może uczyć się na przykładzie ośrodka, jak produkować racjonalne pasze, by krowy były dobrze odżywione. To da im możliwość podniesienia dochodowości swoich gospodarstw prywatnych. Ośrodek już dzisiaj ma sprowadzonych ze Szwecji kilkanaście sztuk rasowych krów holenderskich, sprowadza również konie pociągowe — perszerony, ma już u siebie także rasowe kury — karmazyny. Wszystko jest oczywiście w zaczątku, w stadium budowy, dlatego też może drobny rolnik, patrząc z boku na razie nie dostrzega, że to jest praca robiona dla niego, że owoce jej będzie on spożywał w przyszłości, będzie korzystał z tych wszystkich doświadczeń i osiągnięć, które zostaną dokonane na terenie bratoszewickiego Instytutu. Uświadomienie sobie tego jest obowiązkiem chłopów — rolników w jego własnym naturalnym interesie. Tu apelujemy do „Związku Samopomocy Chłopskiej” w Bratoszewicach. — Niech nie śpi, niech wie, że ma swoim członkom w tym uświadomieniu pomóc, niech pomyśli również o nadzielonych chłopach ziemią bratoszewicką. Ziemia nadzielona to dopiero pierwszy krok Reformy, to dopiero punkt wyjścia — start. Z. S. Ch. — pierwsza chłopska instytucja musi pomóc wyjść tym swoim nadzielenym z ich pierwszych trudności, musi on stać się tym łącznikiem między Instytutem a drobnym rolnikiem.

Instytut już od tej chwili dokonuje poważnej pracy, o dużych skutkach społecznych. Przeprowadza badania nad pewną chorobą, szerzącą się wśród bydła; jest to choroba, zwana chorobą Banga. Właśnie w okolicach Bratoszewic notuje się dużo wypadków tej choroby. Polega ona na tym, że krowy jej ulegające często ronia. Jest to kolosalna strata w gospodarstwie. Powodem tej choroby jest to, że było jest wybrakowane. Podrasowanie krów i doraźne leczenie (wyprucie do Instytutu) usunie wśród rolników tę poważną klęskę.

Zbierając to wszystko, co wyżej powiedzieliśmy, musimy stwierdzić, że Instytut Praktyk Rolniczych w Bratoszewicach ma dużą rolę do spełnienia, jest on ośrodkiem promieniującym na okolicę. Musi uniknąć za wszelką cenę dawnej pałacowej tradycji, tradycji izolacji, dziś drzwi jego pracowni muszą stać otworem dla sąsiadów — chłopów — rolników. Niech to nie będzie tylko zamknięta instytucja naukowa ale obok tego instytucja służąca praktycznej radą, wskazówkami i owocami swej pracy dla okolicy rolniczej. Chłop musi wyzbyć się dawnego strachu i omijania chylkiem samego miejsca pracy Instytutu, boć to już nie pański pałac, ale ośrodek pracy mający służyć dzisiejszej wsi. Są w nim inni ludzie i panuje lub powinien panować inny duch. Wtedy i dawny pałac a obecny Instytut niech wyciągną do siebie ręce dla dobrej gospodarki wiejskiej.

## WIEJSKA SZKOŁA FACHOWCÓW I DZIAŁACZY ROLNYCH.

A teraz Państwowe Liceum Hodowlane. Jest to coś, co powstało, otrzymało konkretny kształt, dzięki wysiłkowi niewielkiego zespołu nauczycielskiego i uczniowskiej gromady. Oni to własną pracą uporządkowali zaściankowy pałac, oni to własnym przemysłem zrobili ławy i stoły szkolne, własnym staraniem zdobywają pomoce naukowe. Nieczyna na razie grupa wiejskiej młodzieży (około 25 osób), ściągająca tu z różnych stron kraju, by zdobyć rzetelną, solidną wiedzę, wiedzę, która pomoże im do podniesienia w swoich środowiskach po powrocie ze szkół, stanu naszej gospodarki rolniej. Uczniowie wsi to przyszli instruktorzy rolni powiatowi, to przyszli nauczyciele powszechnych (gminnych) szkół rolniczych. Z ich nastawienia, z ich entuzjazmu do pracy widać, że będą to przyszli działacze wiejscy, dobrze znający pole swojej przyszłej pracy. Specjalny duch ożywia tę młodzież. Nauki nie cenią oni tylko dla przyszłego fachu, dla osiągnięcia poprzez niego stanowiska, cenią oni ją sobie przede wszystkim dla tego, że jest ona cenna społecznie, że poprzez nią coś się praktycznie zmienia na naszej wsi, że ma ona wyprowadzić chłopca z jego dotychczasowego gospodarowania, które pożałujcie Boże! dawało rezultaty bardzo mizerne w porównaniu do tego co osiągał chłop duński czy choćby Czech, bądź Słowak. Młodzież ta podtrzymuje kontakty ze środowiskiem, z którego wyszła. Silnie są wiązadła łączące ją ze wsią bratoszewicką. Dla wsi tej stara się ona na swój sposób już pracować. Organizuje odczyty, świetlice, przedstawienia. Bratoszewice — wieś nie kwitnie tych wysiłków obojętnością, garnie się do każdej akcji kulturalnej podjętej przez Liceum.

Duszą tej młodzieży, jest Dyrektor Liceum — ob. Czesław Garda. Człowiekowi temu należy się na tym miejscu najwyższe uznanie. Oto prawdziwy działacz kulturalny, kocha on młodzież, którą kieruje, umie wydobyć z niej maksimum wysiłku i dobrej woli. Nie jej nie narzuca, ale ją inspiruje, jest dobrym doradcą. Zorganizował on dla wsi szereg odczytów, wprowadzających chłopów w zagadnienia gospodarcze i kulturalne. Zaprosił do tego prelegentów z Łodzi, wysuwając tu i własnych uczniów. Jakże było zainteresowanie wsi tymi prelekcjami? Powiedziałbym, że duże. Na każdy z referatów przychodziło od 30 do 100 osób. Nie mogę się tu powstrzymać od przypomnienia o pewnym fakcie z terenu łódzkiego. Otóż gdzieś w maju r.b. był zapowiedziany odczyt w sali „Czytelni”, odczyt poświęcony zagadnieniom współczesnej gospodarki polskiej. Przybyło na referat 5 osób. Na odczyt w Liceum bratoszewickim p.t. „Bogac-

stwa naturalne nowej Polski” przyszło 50 osób. Mówię to nie ze względów demagogicznych, ale ot dla żartu.

Łódź, sala „Czytelni” — to samo zagadnienie, doskonały prelegent — 5 osób, wieś — Bratoszewice — Liceum Hodowlane, prelegent pan Garda — 50 osób.

Na ostatniej imprezie, którą miałem przyjemność oglądać. (Szkoła wystawiła drugą część „Dziadów”) było około 200 osób, a więc prawie czwarta część całych Bratoszewic (900 mieszkańców).

Wież nie jest obojętna, dla tego, co w jej ramach i dla niej robią ludzie, którzy tę wieś kochają i pragną dla niej pracować. Ludzie z Bratoszewic często przychodzą do świetlicy, zorganizowanej przez „Samopomoc Chłopską”. Jest tu radio, są książki rolnicze, jest dużo czasopism. Zobaczyliśmy tam i naszą „Wieś”. To jest właśnie cenne u uczniów tej szkoły. Chcą wyjścia na zewnątrz, chcą udostępnienia tego, co się samemu uważa za wartościowe, kręgowi jak najszerzszemu. Silnie są wiązadła łączące bratoszewickie Liceum Hodowlane i bratoszewicką wieś. Niech te wiązadła się zacieśniają. Niech szkoła i okolica coraz bardziej się przenikają, niech się wzajemnie uczą. Ta druga instytucja z ośrodka bratoszewickiego powinna się stać awangardą swoich wsi. Musi ona swoją wiedzę praktyczną uzupełniać wiedzą gruntowną terenu, na którym będzie w przyszłości działać. Wszystko to, co wypracuje Instytut Praktyk Rolniczych, musi być przez absolwentów Liceum popularyzowane i wprowadzone w życie; wtedy nasze słomiane wioski zmienią swoje oblicze.

Wież polska przybierze wygląd wioski duńskiej, szwajcarskiej, czy holenderskiej.

Na zakończenie mojego sprawozdania pragnę podkreślić jeszcze jedno. Będzie to fakt drobny, ale znamienity. Organizatorzy ostatniej imprezy w Bratoszewicach — uczniowie i nauczyciele oddają dochód z przedstawienia na odbudowę Warszawy. Symowie wsi nie myślą tylko o swoim podwórku. Biorą udział w pracach całego narodu. Warszawa jest miastem, które i chłop chce odbudować, boć to stolica dziś i jego Ojczyzny.

## KSIAŻKI NADESŁANE

### WYDAWNICTWA „KSIAŻKI”

Władysław Broniewski — *Bagnet na broń*, str. 47 + 11b; *Drzewo rozpaczające*, str. 92 — Pod znakiem poetów.

Bolesław Prus — *Powracająca fala, Grzechy dzieciństwa, Na wakacjach, Katarynka, Antek, Pałac i rudera*.

Maria Konopnicka — *Głupi Franek, W winiarskim forcie*, str. 47 — *Mendel Gdański*, str. 31. *Dym, Martwa natura* str. 24.

Tadeusz Hołuj — *Wiersze z obozu*, str. 69 + 3 11b.

M. W. Gogol — *Martwe dusze*, str. 266.

S. Zajączkowski — *Dzieje zakonu krzyżackiego* str. 138.

### WYDAWNICTWA INNE.

Stefan Żeromski — *Popioły* tom I-szy str. 269, tom II-gi str. 282, tom III-ci str. 282. Sp. Wyd. „Czytelnik”.

Mieczysław Kafel i Antoni Olcha — *Wież pizarska* str. 141 + 2 11b, skład główny „Czytelnik”.

Tadeusz Kudliński — *Mantelupa*, str. 246 skł. gł. „Czytelnik”, Kraków 1946.

Dr. M. Ossowska — *Wzór obywatela w ustroju demokratycznym* str. 20, Warszawa 1946 Tow. Uniw. Rob.

Jerzy Eugeniusz Płomiński — *W kręgu polskiej irredenty*, str. 128. Państw. Instytut Wyd. Warszawa 1946 r.

Leszek Klima — *Łużyce wołają* — str. 38, Toruń, Z.N.P. 1946 r.

*Podpalenie świata*. — Praca zbiorowa ze wstępem Wacława Rogowicza Państw. Inst. Wyd. Warszawa 1946 r. str. 381.

Harrington Emerson — *Dwanaście zasad wydajności pracy* str. 86, Wyd. „Poligrafika”, Łódź 1946 r.

## OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII-1080

Prenumerata „Wsi” wynosi zł 25 miesięcznie, zł. 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

„Wieszcz narodowy Flandrii jest głosem  
bohaterskim nieśmiertelnej wolności”

## „Monumentalne arcydzieło na miarę Don Kiszota”

(z przedmowy Romain Rollanda)

Karol de Coster

## OSOBLIWE PRZYGODY DYLA SOWIZDRZAŁA

Pierwsze wydanie zupełne ilustrowane

Str. 484

zł. 250, —

„K S I A Ż K A”

## SPRÓSTOWANIE

Z powodu niedopatrzenia korektora wiersz Józefa Czechowicza p. t. „Zal”, zamieszczony w n-rze 34—35 (52—63) „Wsi” został rozdzielony.

Wiersz „O żniwa” jest dalszym ciągiem wiersza „Zal”, przyczem słowa „O żniwa” nie są tytułem, jak mylnie podano.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.  
Komitet redakcyjny: Kałuziński Zygmunt, Morton Józef, Ozga Michalski Józef, Pięta Stanisław. Komitet terenowy: Frasiak Józef Andrzej, Nędra-Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.

Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p., tel. 100-98.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź, ul. Żwirki 2. D-01898

## P.P.T. i M.R.

PAŃSTWOWE PRZEDSIĘBIORSTWO TRAKTORÓW I MASZYN ROLNICZYCH

### ODDZIAŁY:

CENTRALA:

ŁÓDŹ,

AL. KOŚCIUSZKI 46

TELEFONY: 110-24,

174-61, 152-35

BIALYSTOK LUBLIN  
BYDGOSZCZ ŁÓDŹ  
CIEPLICE OLSZTYN  
GDAŃSK OPOLE  
KATOWICE POZNAŃ  
KIELCE RZESZÓW  
KRAKÓW SZCZECIN

WARSZAWA

DELEGATURA W WARSZAWIE  
DELEGATURA DLA SPRAW „UNRRA” W GDAŃSKU  
ORAZ NA TERENIE RZECZYPOSPOLITEJ 247 STACJI

PIONIEREM MOTORYZACJI  
I MECHANIZACJI ROLNICTWA